

9 10  
Nr indeksu 36762 PL ISSN 0472-5042

Łódź

# Odgłosy

Ule jest ludzkiej  
krzywdy...  
czytaj od str. 8

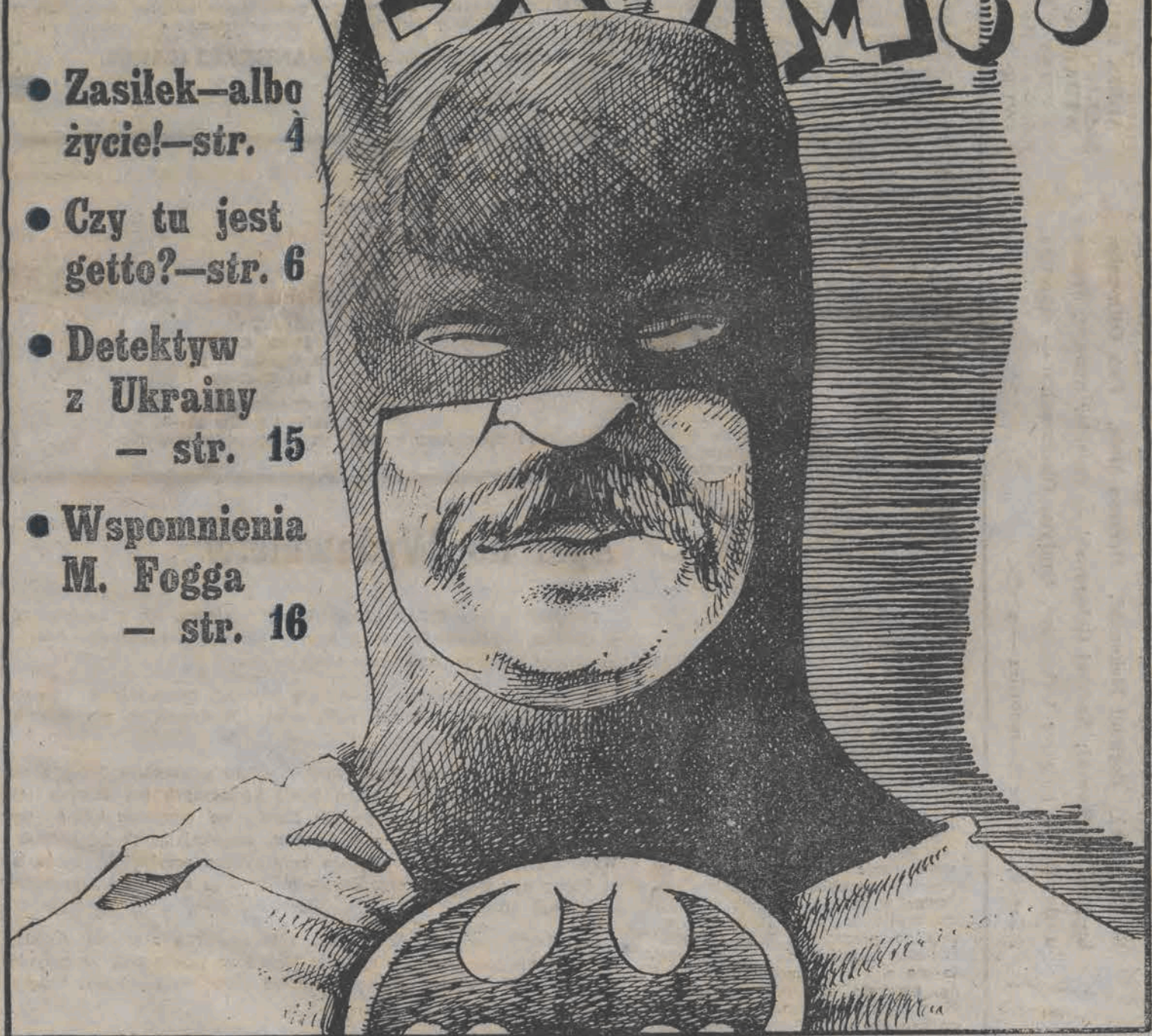
NR 1682 ROK XXXIII

1-15 PAŹDZIERNIKA 1990 R.

CENA 1200 ZŁ

- Zasilek—albo  
życie!—str. 4
- Czy tu jest  
getto?—str. 6
- Detektyw  
z Ukrainy  
— str. 15
- Wspomnienia  
M. Fogga  
— str. 16

# BUUM!?



Rys. Dariusz Romanowicz

**AUTORZY NUMERU:** Mieczysław Fogg, Konrad Frejlich, Marzena Grochowalska, Jacek Indelak, Marek Juszkiewicz, Andrzej Karolczak, Bogda Madej, Bogumil Makowski, Marzena Mróz, Ewa Ostrowska, Lucjusz Włodkowski; Andrzej Gebarowski — redaktor numeru, Janusz Kozłowski — redaktor techniczny, Grażyna Olechnowicz — sekretarz redakcji, Dariusz Romanowicz — grafik.

Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca, zastrzega sobie prawo do skracania i zmiany tytułów.

**ADRES REDAKCJI:** 90-113 Łódź, ul. H. Sienkiewicza nr 3/5, tel. 36-52-44. Fax — 86-71-87.

**WYDAWCA:** Dziennikarska Spółdzielnia Pracy „Odgłosy” na podstawie umowy z Łódzkim Wydawnictwem Prasowym RSW „Prasa — Książka — Ruch”, Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5.

**DRUK:** Prasowe Zakłady Graficzne, Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Czy dziennikarze biorą łapówki...

## Felieton autotematyczny

Pióro mnie świerzbi, żeby napisać coś o gazetach i dziennikarzach, choć zdaje sobie sprawę, że czytelnika może to obchodzić średnio — tak, jakby w teatrze wystawiano sztukę o... wystawianiu sztuki.

Jednak dzieją się różne rzeczy, o których — być może — tzw. szeroka opinia niewiele wie, a wiedzieć chciałaby. Nie myślę tu o nowych tytułach i o upadku starych, nie zamierzam komentować bezrobocia wśród dziennikarzy itp. To wszystko jest gotym okiem widoczne i najdalej jestem od bicia w alarmowe lub żalobne dzwony. Przeorywanie rynku prasowego i zmiana warty w zespołach redakcyjnych to naturalna kolej rzeczy. Prasa jest, czy kto chce czy nie chce narzędziem polityki, zawód dziennikarza to zawód polityczny. Przemiany w prasie to nieodzowna część naszej pokojowej rewolucji — a że niektórzy muszą za to płacić posadą, pozycją, możliwością uprawiania zawodu? No cóż, są to w znakomitej większości efekty określonych wyborów politycznych, dokonanych w dalszej bądź bliższej przeszłości.

Są jednak rzeczy, które muszą niepokoić. Oto zawieszają się jeden z tygielków byłej RSW. Bo był deficytowy. I co się okazuje? Ponieważ nadal wynajmuje się lokal redakcji, zatrudnia ludzi itp., wydatki są niemal takie same jak przed zawieszeniem a wpływów nie ma... Deficyt się powiększa!

We wspomnianych z ogromnym, dziś już nieco historycznym sentymentem latach 80—81 zdarzało się, że zespół redakcyjny, szczególnie nie lubiący swe, narzucone przez partię kierownictwo, wybierał sobie nowe. Wydziały propagandy, całe przerażone tą samowolą respektowały jednak „wolę ludu”, bo cóż miały robić... Dziś, kiedyśmy już „we własnym domu”, kiedy święci triumfy demokracji i pluralizm. Likwidator RSW mianuje sobie kogo chce naczelnym redaktorem i ani mu w głowie zapytać o zdanie przyszłych podwładnych nowego naczelnego. W konkretnym przypadku, o którym myślę, wręcz cały zespół gazety nie chce pracować z nowym szefem. Toteż szef ten zespół niechybnie wymieni. Jak — w cytowanym chętnie niedługo aforyzmie Bertolda Brechta: „Jeśli władzy nie podoba się społeczeństwo to powinna sobie społeczeństwo zmienić”.

Innym niepokojącym zjawiskiem w naszej prasie jest natłok reklamy. Wcale nie chodzi mi o to, że reklama jest, że jest jej dużo, że bywa nachalna i zapewne niejednokrotnie fałszywa bądź kłamliwa. A niech sobie będzie, tak to wygląda w większości cywilizowanych krajów. Obawiam się natomiast, że nieprecyzyjne w tej mierze prawo prasowe może wskazywać furtkę dla płatnej antyreklamy! Słyszałem niedawno w jakiejś reklamie radiowej uszczypliwości pod adresem telewizyjnego programu „Blżej świata”. Nie chcę bronić tego programu, wcale nie należy do moich ulubionych ani program, ani redaktor Klechta. Niepokój mnie tylko, że lada dzień natknę się na reklamę tego typu: Kupuj tylko mydło „Róża” bo jest znakomite, a mydło „Jaśmin” pro-

dukowane przez konkurencję śmierdzi, nie pieni się i jest szkodliwe dla zdrowia”. I co wtedy? Na jakiej zasadzie prawnej redakcja ma nie dopuścić do druku tego tekstu? Na jakiej podstawie producent mydła „Jaśmin” ma skarżyć redakcję i swego konkurenta w sądzie?

Wreszcie sprawa kryptoreklamy. Obydwa stowarzyszenia dziennikarskie przewidują surowe sankcje organizacyjne za uprawianie tejże. Tymczasem poważnie się obawiam, że kryptoreklama, robiona zresztą niemal jawnie, szerzy się w naszej prasie. Gotów jestem, po uważnym przeczytaniu niektórych gazet wskazać palcem na teksty pisane na zamówienie i — co tu kryć — prawdopodobnie za łapówkę. Zawód żurnalisty się spauperyzował, drożyzna szaleje, a jakieś tam kilka setek tysięcy dla przekupnego dziennikarza to nie te miliony, jakie trzeba włożyć w płatną reklamę. A i wiarygodność takiej reklamy jest niewątpliwie większa.

Przypomnijmy szum reklamowo-propagandowy wokół „banku” Lecha Grobelnego i samej postaci te-

go prostaka, cinkciarza, z którego niektórzy moi koledzy robili polskiego Iacocę, partnera do dyskusji z Balcerowiczem itd. Ile w tym było dziennikarskiej naiwności? (Dziennikarz to nie jest zawód dla naiwnych!). A ile w tym mogło być zwyczajnej pazerności na prezenty od pana Grobelnego?

Wróćmy jeszcze na chwilę do wspomnianej na początku szerokiej fali nowych tytułów. Mnożą się gazety i gazetki lokalne, mnożą się organy prasowe nowych partii i ugrupowań. I bardzo dobrze. Wiele z nich ma straszne kłopoty finansowe, lokalowe, papierowe itd. Niektóre z nowo powstałych gazet lokalnych nie placą swoim pracownikom żadnych honorariów, że o stałych pensjach nie wspomnę. I niech mi ktoś teraz wytłumaczy, jakim to cudem nadwiślańskim powstaje nowa gazeta codzienna o ogólnopolskim zasięgu, której przysły wydawca otrzymuje bez trudu lokal od władz miasta, ma pieniądze na papier i druk, ma na etaty i honoraria? Dla jasności dodam, że pismo nie ma — przynajmniej oficjalnie — bogatego sponsora za granicą. Będzie piśmie niezależnym, choć nikt nie ma wtaплиwości, jakie interesy polityczne ma reprezentować...

**ANDRZEJ KAROL**

**Nieograniczona  
wysokość wygranej  
Przyjdź!  
Nie zmarnuj szansy!**

**Salon gry  
„Biago”  
91-065 Łódź  
ul. Ogrodowa 13  
tel. 57-23-88**

czynny codzień w godz. 13—1  
w piątki i soboty 13—3

Proponujemy kuchnię na europejskim poziomie.

## Apel do Wydawnictw

Przedsiębiorstwo PHUP „Egida Westy” zwraca się z apelem do wszystkich Wydawnictw, zajmujących się publikacjami dla dzieci i młodzieży, o pomoc placówkom oświatowym.

Znając trudną sytuację finansową oświaty, proponujemy pomoc w rozwiązywaniu, w miarę możliwości Wydawnictw, przynajmniej jednego z tych problemów.

Nasze Wydawnictwo „Egida Westy” objęło patronatem jedną z nowo powstałych na terenie Łodzi Szkół Społecznych (ul. Elsnera 11). Patronat polega na zaopatrywaniu Szkoły we wszystkie książki wydawane przez Wydawnictwo w ilościach zaspokajających jej potrzeby. Wyobrażamy sobie, że współpracą ta z czasem przybrałaby także inne formy np.: pomoc w organizowaniu spotkań z autorami, wycieczek do drukarni itp.

Kierujemy nasz apel do wszystkich Wydawnictw z prośbą o podjęcie i rozwinięcie naszej inicjatywy. Jesteśmy przekonani, że przyniesie ona wiele pożytku dzieciom i ułatwi pracę nauczycielom. Dziękujemy!

Przedsiębiorstwo PHUP  
„Egida Westy”

## Co się dzieje w TPPR?

**D**r hab. Zbigniew Antoszewski, przewodniczący zarządu łódzkiego TPPR, przysłał mi list zaczynający się od słów: „Mam zaszczyt zaprosić Pana do udziału w dyskusji na temat perspektyw działania w kierunku normalizacji stosunków i poszukiwania formuły ruchu przyjaźni z krajami sąsiadującymi z Polską”.

Jako człowiek zawodowo zajmujący się przekładami, w tym literaturą rosyjską i niemiecką, nie miałem prawa uchylić się od spotkania zwłaszcza, że mieli w nim wziąć udział przedstawiciele różnych „ruchów społecznych i partii politycznych, niezależnie od ich założeń ideowych i metod działania”. Zapowiedź tak ambitnej debaty nie została spełniona, gdyż w Łódzkim Domu Przyjaźni odmeldowały się jedynie sierotki po Pezetpeerze, jeden przedstawiciel PSL oraz dziennikarze. Wysłannik SD, formalnie reprezentowanego we władzach TPPR, nie stawiał się, a inne partie czy ruchy społeczne po prostu spotkanie zlekceważyły.

Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, o czym rzadko kto dzisiaj pamięta, powołane zostało w roku 1944 jako organizacja masowa, której statutowym celem było umacnianie braterstwa z Wielkim Bratem. Zanim to stowarzyszenie dopracowało się dzisiejszych form działania choćby w postaci tzw. „pociągów przyjaźni”, stanowiących ważny element wymiany handlowej z ZSRR z pominięciem monopolu państwowego, biernie przyglądało się wywózkom Polaków na Sybir i akceptowało jeszcze bardziej zbrodnicze metody działania NKWD w naszym kraju na początku „nowej rzeczywistości”, a później było posłusznym narzędziem ideologii stalinowskiej. Antypolskie działania TPPR często były opłacane z państwowej kasy — czasem jednak sięgano do bardziej „subtelnych” sposobów zasilenia kasy — zakłady fryzjerskie musiały przymusowo prenumerować tygodnik „Przyjaźni”.

W momentach przełomów historycznych na krótko dochodziły do głosu inne tendencje (po Październiku 1956 r. TPPR paradoksalnie patronowało publikacji fragmentów „Doktora Żywago” Pasternaka), ale wszystko szybko wracało do normy. Nie przypadkowo sekretarzami zarządów wojewódzkich tej organizacji zostawali doświadczeni towarzysze z aparatu partyjnego, a we władzach zasiadali z klucza reprezentanci koalicyjnej sprawującej władzy w Peerele. W Łodzi do niedawna główne funkcje w TPPR pełnili Jarosław Pietrzyk i Grzegorz Misiewicz, aparatczyki mniejszego formatu uchwalali się tu we władzach do dziś.

I nie dziwnego, etatowym przewodniczącym Rady Naczelnej TPPR w Warszawie jest dobrze nam skądinąd znany prof. Henryk Jan Bednarski, przewodniczący Komisji Ideologicznej KC PZPR w latach 1986—1988. Był I sekretarzem KW w Bydgoszczy, kiedy milicja pobila działaczy „Solidarności”, a w stanie wojennym

awansował na sekretarza KC. W roku 1987 został ministrem edukacji narodowej, obejmując równocześnie ważne funkcje w TPPR. Było to dla niego całkiem nowe poletko doświadczeń, gdyż jako socjolog zajmował się aspiracjami młodzieży rolniczej i kobiet wiejskich, okazuje się jednak, że to wystarczy, aby kierować organizacją, która ma za zadanie upowszechniać wiedzę o ZSRR, propagować dokonania kultury tego kraju, a przede wszystkim powiedzieć gorzkie prawdy o zbrodniach bolszewickich, o wspólnocie męczeństwa i ofiar Polaków i Rosjan, Ukrain-

my wcióż Związek Sybiraków. W takim to otoczeniu i w sali wykorzystywanej przez ten Związek odbyła się wspomniana na wstępie debata, poświęcona nie tyle sprawie ułożenia stosunków Polski z sąsiadami, co przyszłości TPPR.

Antoszewskiemu marzy się przekształcenie dzisiejszego pogrobowca PZPR w stowarzyszenie „Przyjaźni”, zorientowane na ułożenie dobrosąsiedzkich stosunków z państwami ościennymi. Popiera go w tych dążeniach wielu działaczy łódzkich, nawet starej daty, którzy utracili wiarę

warzyszenia, któremu w dobrej wierze poświęciło się szmat życia jest sprawą ludzką i godną współczucia, ale masowanie nadpsutych zwłok nie przywróci nieboszczyka do życia. Nie wiadomo zresztą, czy jest to zabieg potrzebny. TPPR jest postrzegane w społeczeństwie jako organizacja służąca zniewalaniu umysłów, posługująca się nierzadko kłamstwem, na co dzień zaś wulgarną manipulacją i dętą propagandą. Znawcy obciążają ją dodatkowo upowszechnianiem stereotypu kultury, który odciął nas od prawdziwych osiągnięć literatury rosyjskiej i innych literatur narodowych i na długie lata zafalszował ich społeczny odbiór. Cóż z tego, że TPPR świeciło tylko światłem odbitym, nie zdejmując to wcale z tego towarzysza odpowiedzialności za skutki tych działań.

Jednocześnie rodzi się potrzeba powołania do życia organizacji, która zacznie pracować na rzecz prawdziwego zbliżenia z naszym wschodnim sąsiadem. Nie wiem nawet, czy w początkowej fazie swego działania powinna ona używać tak zobowiązującego słowa jak przyjaźni. Nie czuję się uprawniony do przedstawiania założeń programowych takiego stowarzyszenia, choć wiem, że nie może ono powstać ani na gruzach TPPR, ani tym bardziej wyłonić się z jego szeregów. Nie pomogą tutaj żadne reanimacyjne zabiegi. Masowanie nieboszczyka nie poprawi też opinii o masażyście.

## Masowanie nieboszczyka

KONRAD FREJDLICH

ców, Białorusinów, Litwinów i tyłu innych narodów. Obawiam się, że prof. Bednarski i wiele innych osób rezydujących w marmurowym pałacyku przy pl. Bankowym w Warszawie prawd tych powiedziec nie zechcą. I zresztą nie potrafią. Dla nich czas zatrzymał się na epoce Leonida Breżniewa, przesiąkniętą są duchem internacjonalizmu w wydaniu praskim czy afgańskim i widocznie czekają na powrót „istotowo socjalizmu”.

Persony te zużywają obecnie całą energię na utrzymanie pozycji zdobytych w stanie wojennym i za wszelką cenę starają się odwlec termin zwolnienia walnego zjazdu TPPR, gdyż zjazd ten może zatrzeć posadami organizacji i w historycznym znaczeniu tego słowa, i w znaczeniu bezpośrednim.

Ale trąd przedostał się już do marmurowego pałacyku za sprawą organizacji prowincjonalnych TPPR, w których zdecydowany prym wiodzie Łódź. Nie tak dawno Zbigniew Antoszewski na łamach „Przeglądu Tygodniowego” wypowiedział posłuszeństwo takim ludziom jak Stanisław Wroński, Norbert Michna czy Zenon Komender z bogatej palety figur woskowych dawnej epoki. Jego protest przeszedł prawie niezauważony, gdyż pisanie dziś o TPPR, choćby źle, jest dla dziennikarzy dyshonorem, uważa się tę organizację, nie bez racji, za politycznego trupa.

Antoszewski gospodarzy w pałacyku przy ul. Narutowicza 48, jeszcze przed wojną pojeździł rezydencją, który stara się zapracować na miano Łódzkiego Domu Przyjaźni. Nazwa ta wypisana jest na tabliczce przybitej do frontonu, ale nie weszła do świadomości mieszkańców miasta. Chyba że weźmiemy na serio przyjaźni zawierane w restauracji w suterenie budynku, która w gronie bywalców nosi makabryczne przezwisko „Katyń”. W pałacyku ulokowały się liczne spółki i przedsiębiorstwa turystyczne, znalazł tu także przytulisko bezdo-

w Warszawie. Są zarazem zaniepokojeni, że Rzeczpospolita jest postrzegana w wielu środowiskach ZSRR jako państwo antyradzieckie, gdzie burzy się pomniki, przenosi cmentarze żołnierzy radzieckich i zohydza osiągnięcia komunizmu. Jeden z tych aktywistów miał nawet prostą receptę: trzeba zrobić ekipę i pojechać do ZSRR na rozmowy, wszystko tam wytłumaczyć. Słuchając niektórych wynurzeń miałem poczucie utraty czasu, sięgnąłem więc po aktualną gazetę i utwierdziłem się, że był wtedy akurat 13 września 1990 r.

Działacze TPPR jakby zdają sobie sprawę, że ich organizacja, bazująca głównie na pojęciu członkostwa zbiorowego rozpada się, a jej statut zawiera odpychające treści. Przywiązanie do sto-

### U W A G A !

Inwestorzy Krajowi i Zagraniczni

Przedsiębiorstwo Inwestycyjno-Handlowe

## INHAST

to gwarancja dobrej jakości oraz niskich kosztów inwestycji

- prowadzimy powiernictwo inwestycyjne pełne lub częściowe
- gwarantujemy współpracę na każdym etapie i w każdym zakresie procesu inwestycyjnego
- promujemy i współpracujemy z wykonawcami robót, biurami projektów oraz producentami materiałów budowlanych

### ZAPRASZAMY!

Łódź, ul. Piotrkowska 173, IV p. — pok. 403

tel. 36-10-55 lub 36-52-66 wewn. 299 i 257

# Zasilek - albo życie!

MAGDALENA GROCHOWALSKA

Wojewódzkie Biuro Pracy w Łodzi przy ul. Wólczańskiej, 7 września, godz. 14. Do pokoju nr 4 wtacza się pijany osobnik.

— Dlaczego nie dostałem zasiłku? Co?!

— Ponieważ znaleźliśmy panu pracę, a pan jej nie podjął — odpowiada grzecznie pracownik biura — Ryszard Kubik.

— Ja nie chcę pracy, ja chcę zasiłek! — podnosi głos pijany interesant.

— Przykro nam, ale w tej sytuacji nie otrzyma pan zasiłku.

— Mam mieć wypłacony zasiłek, bo jak nie, to cię zabiję, słyszysz? Dorwę cię na ulicy i zabiję!

— Proszę się uspokoić!

— Zamkną mnie, ale cię zabiję! — odgraża się pijak z uporem maniaka.

Kilku bezrobotnych czekających w kolejce wyprowadza go.

— Takich przypadków mamy codziennie kilka — mówią pracownicy Wojewódzkiego Biura Pracy. — Czasem jesteśmy zmuszeni wzywać policję. Nie tak dawno pijany bezrobotny rzucił się na nas z krzesłem. Poroził dziury w biurku, zniszczył kartoteki. Nie uspokoił się nawet gdy przyjechała policja.

Ustawa z dn. 29.XII.1989 r. (wraz z nowelizacją z 27.VII.1990 r.) mówi iż „prawo do zasiłku przysługuje bezrobotnemu z dniem zarejestrowania, jeżeli nie ma dla niego propozycji odpowiedniej pracy, propozycji przyuczenia do zawodu lub przekwalifikowania, skierowania do prac interwencyjnych lub na utworzone dodatkowe miejsca pracy”.

Tymczasem wielu ludzi (głównie z tzw. „marginesu społecznego”) odrzuca oferty pracy i domaga się zasiłku.

— „Prawdziwy” bezrobotny bierze każdą pracę — mówią pracownicy NBP. — Kiedyś spytaliśmy wykwalifikowanego robotnika, jaką pracę chciałby otrzymać. Wie pani co odpowiedział? — „Wszystko jedno. Ja mam żonę i dzieci na utrzymaniu”.

W WBP zarejestrowanych jest 35.134 bezrobotnych. W tym 14.704 kobiety. Liczba ta ma tendencję wzrostową.

Na liczbę tę składają się zarówno bezrobotni, którzy utracili pracę na skutek zwolnień jak i osoby, które nigdy dotąd nie pracowały. Dzięki zmianom w ustawie, zasiłek będą mogły pobierać tylko te osoby, które „w okresie 12 miesięcy poprzedzających dzień zarejestrowania pozostawały w stosunku pracy co najmniej 180 dni lub podlegały ubezpieczeniu społecznemu z tytułu innej działalności przez okres co najmniej 180 dni.”

— Dobrze, że dokonano zmianę w ustawie — mówią pracownicy WBP — bo już zaczęło

dochodzić do paradoksów. Przychodzili do nas obwieszeni złotem Cyganie i ubrani w najmodniejsze ciuchy cinkciarze, których widywaliśmy pod kantonami z grubym plikiem dolarów. Ci ludzie dostawali zasiłek, podczas gdy nam ledwo starczało do pierwszego. Nasza pensja wynosi niewiele ponad 500 000 zł.

— Może zmiana w ustawie spowoduje, że będzie tu wreszcie spokój? — ma nadzieję strażnik Wiktor Wdowiak. — Tu się dzieją dantejskie sceny. Pijani interesanci są nieobliczalni. Pracownicy żyją w ciągłym strachu. Nie możemy zapewnić im bezpieczeństwa.

Niestety, nadzieje pana Wdowiaka okazują się płonne. Zmia-

nie tylko awanturujące się lumpy i pijaki. To również wielkie ludzkie tragedie.

Małgorzata Mastalerz ma troje dzieci. Obecnie jest w trakcie rozwodu. Przedstawia swoją sytuację płacząc:

— Pracowałam w banku. 4 lutego urodziłam dziecko, a 9 czerwca zostałam brutalnie zwolniona z pracy. Moje dziecko jest chore. Ma zapalenie szpiku kostnego. Mąż nie płaci alimentów. Od dnia 4 lutego do 9 czerwca wypłacono mi jedynie zasiłek macierzyński ze środków ZUS oraz zasiłek rodzinny. Od tej chwili pozostałam bez środków do życia. Ja i dzieci jesteśmy na utrzymaniu mojej siostry.

Młoda kobieta, również w trakcie rozwodu, padła ofiarą nieuczciwego agenta:

— Pracowałam jako kelnerka. Agent mnie nie zarejestrował jako pracownika. Kiedy zaszłam w ciążę zwolnił mnie i nie chce wystawić świadectwa pracy. Z moich papierów wynika, że nie pracowałam, a to przecież nieprawda! Zasiłek mi nie przysługuje, mąż nie daje mi pieniędzy ani nie płaci alimentów. Jestem

dził, że zaświadczenie wydano mu w pogotowiu.

Pewna kobieta rozpaczala, że nie ma czym nakarmić trojga dzieci. Kiedy kazano jej udokumentować swoją sytuację, okazało się, iż była trzykrotnie mężatką, ale z żadnego związku nie miała dzieci.

Młody mężczyzna odrzucał wszystkie oferty zatrudnienia domagając się... pracy za granicą. Uroił sobie, że WBP taką pracę mu załatwi. Nadarzają się również próby przekupstwa. W mojej obecności mężczyzna w średnim wieku zwraca się ścisłym głosem do jednej z pracownic biura:

— Dam pani czekoladę, tylko proszę, niech mnie pani przyjmie bez kolejki...

A kolejki są ogromne.

— Dziennie przyjmujemy setki osób — mówi kierowniczka Marlicka. — Na przykład na 13 września naznaczonych było 400 osób z samej tylko grupy osób z wykształceniem wyższym i średnim. Nie mamy czasu nawet na to, żeby napić się herbaty. Ludzie tłoczą się w ciasnym korytarzu biura. Chyba w najbliższym czasie będziemy wyznaczać terminy trzydziestoczynne. Myślę również o wzywaniu ludzi telegraficznie.

Jak na razie w biurze panuje popłoch i panika. Częste są przypadki awantur wśród czekających w kolejce bezrobotnych. Ludzie dosłownie wyrwają sobie z rąk oferty pracy.

— Nie wiem co będzie dalej — mówi Grzegorz Siwiński, zastępca kierownika do spraw bezrobotnych z wykształceniem podstawowym i zawodowym. — Podejrzewam, że rząd również tego nie wie. Został przekroczony dopuszczalny próg bezrobocia. W skali kraju wynosi on już 800.000. Dla nas Polaków jest to nowe zjawisko, do którego nie jesteśmy przygotowani. Nie jesteśmy w stanie zapewnić pracy wszystkim jej poszukującym. Zjawisko bezrobocia zdaje się wymykać spod kontroli!

Według stanu z 15 września, na wspomnianą już liczbę 35.134 wszystkich bezrobotnych zarejestrowanych w województwie łódzkim przypadają 1504 osoby z wykształceniem wyższym, 8050 z wykształceniem średnim, 137 absolwentów szkół wyższych, 1120 szkół średnich i 821 szkół zasadniczych zawodowych. Najwięcej bezrobotnych obserwuje się wśród osób bez zawodu (13.639, w tym 5.478 kobiet), w dalszej kolejności występują pracownicy administracyjno-biurowi (2.654, w tym 1.990 kobiet), włókiennicy (1.696, 1.235 kobiet), elektrycy i elektrycy (1.739, 203 kobiety), tkarze i slusarze (1.093, 25 kobiet), ekonomiści (1.681, 1.346 kobiet), kierownicy (703), mechanicy (1.937, 133 kobiety).

Skierowano do pracy ogółem 15.212 bezrobotnych (w tym 5.193 kobiety), do prac interwencyjnych 2.473 osoby (458 kobiet).



Foto: Grzegorz Galasiński

ny w ustawie zamiast oczekiwanego spokoju przyniosły wręcz odwrotny skutek.

14 września godz. 11.30. Do pokoju nr 12, w którym przyjmuje kierownik Lidia Marlicka wchodzi bez pukania pijany osobnik. Czuł od niego denaturat. Biednym wzrokiem patrzy najpierw na mnie, potem na panią kierowniczkę.

— Z czego będę żył k...? — pyta podciągając rękawy swetra ukazując liczne tatuaże. — Dlaczego mi zabraliście zasiłek?!

— Według nowej ustawy zasiłek się panu nie należy, ponieważ pan nie pracował od 1988 r. — objaśnia pani kierowniczka.

— A ch... mnie to obchodzi! Ja chcę forszę! Dajta mi forszę! — krzyczy głośno pijak.

Kierowniczka podnosi słuchawkę telefonu. Próbuje wezwać na pomoc strażnika. Bezskutecznie. Telefon jest zajęty. Tymczasem pijak obrzuca kierowniczkę stekiem niecenzuralnych słów, wymachując przy tym groźnymi rękami.

W pokoju jesteśmy tylko my dwie. Pijak szaleje. Robi się niebezpiecznie. Z opresji ratuje nas przypadkowo jeden z pracowników biura.

Wojewódzkie Biuro Pracy to

w sytuacji bez wyjścia, nie wiem co mam robić!

59-letnia kobieta jest nie mniej zrozpaczona:

— Jestem z grupowego zwolnienia. Miałam przepracowane tylko 12 lat, gdyż wcześniej zajmowałam się domem. Obecnie nigdzie nie chcą mnie przyjąć do pracy, bo mówią, że jestem za stara. Oboje z mężem żyjemy z jego emerytury.

Niektóre historie są wstrząsające — mówi kierowniczka Lidia Marlicka — nie wszystkie jednak okazują się prawdziwe. Kiedyś przyszedł do mnie człowiek, przynosząc zaświadczenie stwierdzające, iż jego żona leczy się w szpitalu psychiatrycznym. On jest bezrobotny. Został sam z dziećmi. Dzieci trzeba ubrać i nakarmić, a on nie ma nawet na chleb. Zrobiło mi się go żal. Dałam mu z własnej kieszeni 10 000 zł. Jeden z pracowników dał mu również 10 000 zł. Kiedy wracałam z pracy zobaczyłam go pijanego. Pieniądzy, które mu daliśmy już nie miał.

Jeden z bezrobotnych przyniósł napisane przez siebie z błędem ortograficznym zaświadczenie, stwierdzające, że miał wypadek samochodowy i musi się leczyć, w związku z czym nie może podjąć pracy. Twier-

**W**ojewództwie łódzkim zmarły 3 kobiety dokonujące aborcji u tzw. babek. Dlaczego? Przecież ustawa o zarządzeniu aborcji jeszcze nie weszła w życie. Mogły dokonać zabiegu w spółdzielni lub gabinecie lekarskim. Czy rzeczywiście?

Według rozporządzenia ministra zdrowia „O dopuszczalności zabiegu przerywania ciąży” z kwietnia 1990 r. kobieta, aby przerwać ciążę musi mieć orzeczenie lekarza o dopuszczalności dokonania zabiegu. Jeśli powodem jej decyzji są złe warunki życiowe, czy też inne okoliczności uniemożliwiające w jej przekonaniu urodzenie dziecka, kobieta musi złożyć lekarzowi pisemne zaświadczenie, zawierające dokładny opis tych warunków wraz z uzasadnieniem swojej decyzji. Lekarz ginekolog (ze specjalizacją I i II stopnia), po dokładnym zbadaniu pacjentki i stwierdzeniu ciąży robi jej wykład o szkodliwości zabiegu i podejmuje próbę odwieśnięcia jej od zamiaru dokonania zabiegu. Zdarzały się przypadki, że lekarz, któremu nie udało się odwieść kobiety od jej postanowienia, a kobieta deklarowała się jako osoba wierząca, odsyłał ją do księdza na rozmowę.

Jeśli kobieta pomimo prób lekarza (i księdza) nadal podtrzymuje swój zamiar, zostaje odesłana na rozmowę z psychologiem, od którego musi przynieść pisemne zaświadczenie. Kolejny etap to zasięgnięcie przez lekarza opinii drugiego lekarza o tej samej specjalizacji, a następnie zasięgnięcie opinii lekarza poradni ogólnej, którego zadaniem jest stwierdzenie, czy nie istnieją inne przeciwwskazania lekarskie do dokonania zabiegu. Obaj lekarze są zobowiązani do wydania orzeczenia na piśmie. Jeśli kobieta nie dostanie pozwolenia na zabieg, wówczas pisze wniosek do kierownika zakładu społecznej służby zdrowia z prośbą, aby sprawę rozpatrzyła komisja. Wszystko to trwa długo i może się zdarzyć, że zanim kobieta załatwi wszystkie formalności będzie już za późno na dokonanie zabiegu. Może się również zdarzyć, że załatwi na czas wszystkie formalności, a i tak nie zostanie poddana zabiegowi, gdyż artykuł 14 rozporządzenia zastrzega sobie, iż lekarz może odmówić wykonania zabiegu, jeśli nie zagraża to jej życiu.

A więc już w tej chwili usunięcie ciąży jest tak trudne, że aż niemożliwe — tymczasem grupa senatorów przedstawiła projekt ustawy o ochronie dziecka poczętego. Projekt ten zabrania dokonania aborcji w każdym przypadku. Nawet wówczas, gdy ciąża jest wynikiem gwałtu lub zagraża życiu kobiety. 25 września o godzinie 17, w Łodzi przy pl. Wolności odbyła się manifestacja przeciw projektowi ustawy. Organizatorzy manifestacji zbierali podpisy pod listem otwartym do Sejmu i Senatu. Wznoszono hasła: „Najpierw żłobki i przedszkola, potem więzienia”. „Miliard Chiczków — miliard Polaków”. „Wiecej wolności, mniej Solidarności”. „Sredniowiecze — to już było!” „Strzeż się ciąży, senat krąży”. „W Sejmie nastąpiła zmiana: zdjęli z godła orła, założyli bociana”. „Nie mam ojca ani matki, Senať wsadził ich za kratki”. „Jesteśmy młodzi, precz z rządami starych!”.

— Przeprowadziła nas tu troska o własną przyszłość — mówi 16-letnia dziewczyna. — To nieludzkie, żeby garstka starych ludzi, do tego fanatyków, przesądzała o naszym losie. Przecież Bóg dał człowiekowi wolną wolę. Ubezważając kobiety ignoruje się Boga!

Mówi jedna z organizatorek wiecu, Renata Luczyńska (uczennica Liceum Ogólnokształcącego):

— Nie chcemy walczyć z religią ani z Kościołem, nie chcemy mieszać się w politykę, chcemy tylko zabrać głos w sprawie, która nas dotyczy. Byliśmy, jesteśmy i będziemy zawsze przeciw ustawie zakazującej aborcji i będziemy z nią walczyć tak długo, dopóki to będzie konieczne. W przyszłości chcemy założyć Zrzeszenie Ludzi My-

ślących i wydawać własne pismo. Od dzisiaj mamy zamiar protestować co tydzień.

Wysoki chłopak trzyma w ręku mały transparent z wierszykiem:

„Moja mama mnie nie chciała, moja siostra i mój brat, nawet tata mnie nie prosił, abym przyszedł na ten świat. Lecz ustawa o aborcji rozstrzygnęła spory te, dzisiaj jestem w domu dziecka, porzucony, jest mi źle”.

Dwie dziewczyny trzymają transparent, na którym narysowany jest kobiecy układ

## Dlaczego muszą umierać?

MARTA TOMICKA

rozrodczy. Pod rysunkiem podpis: „To jest tylko moje”.

Chłopcy krzyczą: „Więcej prezerwatyw, mniej kościółów!”.

W miarę upływu czasu, wbrew intencjom organizatorów pojawia się coraz więcej hasel antyklerykalnych. Chłopcy niosą transparenty z hasłami: „Precz z dewocją, chcemy swobodnego dostępu do aborcji”, „Aborcja tak, kler nie”, „Witaj święta inkwizycjo”, „Zemsta kleru za celibat”.

Demonstranci maszerują ulicą Piotrkowską. Przy „Hortexie” ktoś rzuca hasło: „Idziemy pod katedrę!” Okerzyki antyklerykalne nasilają się. Organizatorzy próbują je załagodzić.

— Żyj i daj żyć innym! — wołają do mikrofonu.

— Kościół sobie, a my sobie!

Pod katedrą demonstranci zatrzymują się.

— Gdzie jest biskup? Chcemy rozmawiać z przedstawicielem władz kościelnych! — Rozlega się ze wszystkich stron.

Nikt jednak nie wychodzi naprzeciw demonstrantom.

Głos zabierają uczestniczki demonstracji:

— Jestem studentką medycyny. Studiuję w Kijowie. Wiele się napatrzyłam na ludzkie dramaty. Gdyby nie aborcja, wiele dziewczyn zmarnowałoby swoje młode życie — mówi dziewczyna w niebieskiej kurtce.

— Miejmy tyle dzieci, ile chcemy i na ile nas stać — woła kobieta po „trzydziestce”.

— Znam tysiące kobiet, które przyszyby dzisiaj na demonstrację, gdyby wiedziały, że się odbywa! — ma pretensję do organizatorów jedna z kobiet. — Na drugi raz jak będziecie organizować wiec, ogłoszcie to przez radio, telewizję, rozdajcie ulotki przed zakładami pracy!

Dziewczęta rozdają ulotki wzywające do udziału w pikiecie mającej się odbyć przed sejmem 29 września: „Ojcie, mężu — czy wiesz, że twoja córka, żona będzie przymuszona do urodzenia dziecka pochodzącego z gwałtu, czy będziesz mógł patrzeć jak jest okrutnie karana za cudze winy, czy będziesz wychowywał potomka jakiegoś zwyrodnialca?”

— Przecież ci senatorowie mają żony, córki, czy oni uważają, że ich bliskich to ominię? — zastanawia się obok mnie jeden z chłopców. — Oni wyrządzają krzywdę własnym dzieciom.

— Jeśli ustawa zostanie wprowadzona, wiele kobiet straci życie. Czy o to chodzi? — krzyczy ktoś z boku.

Jedna z ulotek głosi: „Przyjęcie ustawy o ochronie życia poczętego to: pogłębienie biedy w rodzinach wielodzietnych, tysiące sierot społecznych, zgony i kalectwa kobiet po pokątnie wykonanych „skrobankach”, zapelnienie zakładów karnych kobietami, które podjęły ryzyko usunięcia ciąży, tragedie w wyniku zgonów kobiet, dla których ciąża stwarzała zagrożenie życia”.

Demonstracja kończy się wezwaniem do udziału w pikiecie przed sejmem 29 września.

Inicjatorami demonstracji byli uczniowie VIII LO, XII LO, III LO, IV LO, Technikum Poligraficznego, Technikum Elektrycznego oraz Polskie Stowarzyszenie Feministyczne.

— Czy wierzysz w skuteczność demonstracji? — pytam jedną z najbardziej aktywnych jej uczestniczek.

— Wierzę, że senatorowie opamiętają się. Przecież ta ustawa jest niehumanitarna. Jak można ZABIJAĆ w imię ŻYCIA?

— A jeśli senatorowie nie opamiętają się — wtrąca przysлуchująca się nasze rozmowie dziewczyna — i senat, a później sejm, zatwierdzą ustawę, to przecież zawsze jeszcze pozostają butelki z benzyną!

### Organizatorzy manifestacji zbierali podpisy pod listem otwartym, którego fragment publikujemy:

„Zwracamy się do Sejmu i Senatu Rzeczypospolitej Polskiej z żądaniem wstrzymania prac legislacyjnych nad projektem ustawy o ochronie życia poczętego i rozważeniem w ogóle sensowności ustawowego regulowania tego delikatnego problemu.

Jeśli bowiem zrozumiałe są powody moralne, dla których podjęto tego rodzaju inicjatywę ustawodawczą, to jednak proponowane w projekcie rozwiązania prawne muszą budzić sprzeciw — również moralny.

Oburzenie budzić musi przede wszystkim represyjny charakter ustawy, w tym bezwzględnie egzekwowana kara więzienia (do 2 lat) dla kobiet, które poddadzą się zabiegowi usunięcia ciąży. Ustawodawca nie sięga tu do złożonych, społecznych, obyczajowych, psychologicznych, medycznych czy ekonomicznych przyczyn tego rodzaju decyzji. Wykazuje nadto zdumiewający brak wyobraźni jeśli idzie o skutki, jakie to uregulowanie może przynieść np. w sytuacji kobiety, która już jest matką innych dzieci (czemu to i one mają być karane swego rodzaju osieroceniem?).

Uzasadniony niepokój wywołuje również ślepe trzymanie się przez ustawodawcę jednej zasady moralnej. Warto w tym miejscu przypomnieć, że życie ludzkie jest wprawdzie wartością najwyższą, ale nie bezwzględna. Zasada „Nie zabijaj” podlega bowiem swoistemu zawieszaniu np. w stanie wojny, czy też wtedy, kiedy wchodzi w konflikt z innymi wartościami, czego przykładem jest choćby prawne sankcjonowanie kary śmierci. Również w obrębie życia poczętego przewidzieć należy sytuacje wyjątkowe i dramatyczne, w przypadku których rygoryzm moralno-prawny ustawy powinien ulec złagodzeniu”.

## Żaluję jedynie, że nie byłam szalona

**D**om Pomocy Społecznej przy ulicy Spadkowej to dwa jasne budyki usytuowane na obrzeżach Łodzi. Z centrum miasta jedzie się tu równą godzinę.

Na parterze, w pawilonie głównym przebywają dzieci o najwyższym stopniu upośledzenia. Przystronne, schludne sale, gra radio, przy każdym łóżku wiszą kolorowe zabawki.

„Jarek płacze, gdy go choć raz dziennie nie odwiedzę” — mówi oprowadzająca mnie po domu Teresa Grams — od sierpnia p.o. dyrektora placówki. „On poznał mnie po krokach. Niech pani spojrzy — już z daleka się uśmiecha. A to jest nasz „dzia-dzius”. Ma 17 lat i fizjonomię starca. Nigdy mu nie urosły zęby. „Ma taką atlasową skórę, bardzo jest miły” — dodaje opiekunka. Hubert jest „akrobata” — potrafi wywinąć się w ósemkę. To Robert — niedawno wrócił ze szpitala poparzony. „Co też oni tam z nim zrobili! Kurujemy go tu teraz”. Maciek — kilka tygodni temu miał 18. urodziny. Mama tort przyniosła. „Maciuś, Maciuś” — opiekunka Halina Strzopa głaszcząc chłopca po policzku. „Nasz Maciuś”...

„A tu leży Grzesz z wodogłowiem — sam sobie nóżki polamał. Niech pani zobaczy — Kamil je dziś już drugą bluzkę. Synuś, co ty robisz?” — pani Halina uspokaja nerwowego malca. Dzieci uśmiechają się do podchodzących opiekunek, salowych, pani dyrektor, wyciągają niekształtne rączki. „Pracujemy tu, żeby zobaczyć ich uśmiech” — zgodnie przyznaje personel oddziału.

Dwójka dzieci ma skrepowane bandażem rączki, przywiązane do łóżka. „Co mam robić? — pyta opiekunka grupy. Gdy ich rozwiązujemy — sami się o-kaleczają. Kamil wkłada ręce do gardła. Rozdrapując je do krwi, wyrwa kawałki tkanek”. „Co robić?” — powtarza uparcie pytanie, na które nikt jeszcze nie udzielił jej odpowiedzi...

Łódzki dom dla dzieci głęboko upośledzonych został oddany do użytku w styczniu 1965 r. jako jedyny tego typu ośrodek w województwie. Nowoczesny, dobrze jak na tamte czasy wyposażony nie sprawiał kłopotu jednostkom nadrzędnym, a wręcz przeciwnie — świecił przykładem jako wzór gospodarności dla innych podobnych mu placówek. Tak było kiedyś. Dziś — stał się przedmiotem narodowej wręcz dyskusji, synonimem marnotrawstwa, miejscem, gdzie rzekomo głodzi się i bije ciężko chore dzieci.

Z biegiem lat warunki życia tych dzieci znacznie się pogorszyły. Zabrakło pieniędzy na niezbędne remonty — nie przydzielił ich Wydział Zdrowia. Dom został radniernie zagęszczony — była dyrektor nie odmawiała miejsca samotnie potrzebującym dzieciom. Brakowało siły fachowej — dyrekcja nie występowała o dodatkowe etaty ponieważ te, które były, nie zostały nigdy w pełni wykorzystane. Motywacją do pracy w tym domu nie było zapewne i nie

jest — minimalne zresztą — wynagrodzenie. „Żeby tu pracować trzeba mieć powołanie, albo... blisko mieszkać” — mówią pracownicy.

Sytuacja w jakiej znalazł się łódzki Dom Pomocy Społecznej zainteresowała opinię publiczną pani Anna Brzozowska — z wykształcenia artysta plastyk, autorka filmów dokumentalnych. Odwiedziła dom, jako że jeden z wychowawców był jej bliskim kolegą. Nie spodobała jej się metody pracy z dziećmi jakie tam stosowano, zaobserwowała szereg nieprawidłowości w funkcjonowaniu ośrodka. Problemem tym zainteresowała poseł Marię Dmochowską. Dom Pomocy Społecznej zaczęły odwiedzać nie kończące się kontrole. Na początku — wizytacja komisji społecznej powołanej przez panią poseł. Równocześnie z kontrolą NIK-u badania na ulicy Spadkowej rozpoczęło biuro poselsko-senatorskie oraz komisja Senatu. Do „akcji” włączono również Wojewódzką stację sanitarno-epidemiologiczną, a także Państwową Inspekcję Pracy. Pewnego niedzielnego wieczoru cała Polska zobaczyła przedstawiony w Wiadomościach Wieczornych reportaż ukazujący fatalne zaniedbanie placówki. Smutne twarze bezsilnych dzieci skrepowanych bandażami. To robi wrażenie.

Pani Teresa Grams jest oburzona. „Czy tutaj jest getto? Czy ich się tu karci, bije, głodzi? Takie wrażenie odniosła zapewne większość oglądających reportaż TV. Był to obraz bardzo naszą placówkę krzywdzący, tendencyjnie ukazujący problem. Pani Brzozowska była u nas kilka razy i na podstawie jednostkowych relacji uzurpowała sobie prawo do poruszenia tematu naszego domu na forum publicznym. Od 2 kwietnia do końca maja trwały w naszym domu kontrole. Te dwa miesiące to — gehenna. Zamiast pracować — musieliśmy oprowadzać po domu kontrolujące grupy. Dla niektórych, rzeczy które tu zastali były przerażające, wstrząsające, niezgodne z przepisami. Ale my przez te wszystkie lata mimo piętrzących się trudności musieliśmy pracować. Pewnie, łatwiej byłoby po prostu zamknąć dom — ale co by się wtedy stało z dziećmi?”

Komisje stwierdziły szereg nieprawidłowości w funkcjonowaniu ośrodka. Posypały się poważne zarzuty: wiązanie dzieci, nieodpowiednie ich odżywianie, brak personelu, zbytne zagęszczenie, za mało zajęć rehabilitacyjnych, nie wyegzekwowanie pieniędzy na przeprowadzenie remontów. 16-punktowa lista wniosków sporządzona przez NIK została przesłana do obecnego zwierzchnika placówki — Wojewódzkiego Zespołu Pomocy Społecznej. Kto tu jest winien?

W tym roku dom otrzymał 2 mil złotych. Z tych pieniędzy pokrywane są wynagrodzenia dla pracowników, wyżywienie dzieci, opłaty za energię elektryczną, ciepłą, zakup opału, remonty, zakup sprzętu medycznego, pomocy dydaktycznych — słowem — wszystko. Jest to —

jak mnie zapewniono — kwota absolutnie niewystarczająca. Z zaplanowanych przez dyrekcję w tym roku sum na remonty kapitalne i bieżące po 85 milionów — otrzymano jedynie 80 mln na remonty bieżące. Remont kapitalny trwający z braku funduszy kilka już lat — również w tym roku nie zostanie ukończony. Jak się okazuje — jednostka nadrzędna, a był nią do kwietnia br. Wydział Zdrowia i Opie-

zwracałam się do wielu instytucji z prośbą o pomoc finansową. Po prostu zebrałam”. Pokazuje segregator cały wypełniony korespondencją. „Niech pani spojrzy — do Wojewódzkiego Wydziału Zdrowia, naczelnika Dzielnic Łódź-Bałuty, przewodniczącego Dzielnicowej Rady Narodowej. Przedsiębiorstwa „Furex”, „Cezal”... — z premedytacją wybierałam instytucje najbogatsze. Pełnomocnik „Fu-

## Czy tutaj jest getto?

MARZENA MRÓZ



Foto: Marzena Mróz

ki Społecznej w Łodzi — była zorientowana w sytuacji i potrzebach domu. W ciągu ostatnich dwóch lat inspekcji dokonywał sam dyr. Petrenko oraz Państwowa Inspekcja Pracy. Wpływały do niej pisma z prośbą o dodatkowe fundusze. Widać niewiele mogli w tej sprawie pomóc...

„Pracuję tu od 2 lat, do lipca na stanowisku dyr. administracyjnego” — mówi Teresa Grams. „Gdy zorientowałam się, że nie będę miała możliwości wyegzekwowania pieniędzy na przeprowadzenie najpilniejszych robót i doposażenie domu w sprzęt —

rexu” osobiście pofatygowaliśmy do naszego domu. Bardzo nam pomógł przysyłając dzieciom nowe, nie używane ubranka, owoce, słodycze. Czy pani wie, że poseł Dmochowska nigdy tu u nas nie była? Wiele zakładów udzieliło nam pomocy, ale teraz po tych nieprawdziwych, krzywdzących nas informacjach jakie ukazały się w prasie i w TV już miałam telefony od osób zaprzyjaźnionych z naszym domem, że w związku z ujawnieniem takiego marnotrawstwa, wyrzucaniem pieniędzy w przysłowiowe „błoto” — wycofują swą pomoc. Powiem pani jeszcze

„Miał za dużo do powiedzenia”.

## Ludzka twarz kapitalisty

„Swoboda działania nie może być ograniczona ani przez decyzje polityczne, ani przez decyzje prawne” — nierasobliwie stwierdził Cezariusz C. — dyrektor Przedsiębiorstwa Zagranicznego „Forza” w Pabianicach. A początkiem całej sprawy było głupie kilkaset złotych, o które mieli chętność upominać się niespełna trzydziestka pracowników fizycznych tego szacownego dwuosobowego koncernu.

Właściciel firmy mieszka w zachodniej części Niemiec i stamtąd kieruje swoimi ludźmi tutaj, którzy kierują produkcją anten samochodowych. Ludzie Niemca podpisali z każdym ze swoich ludzi umowę opiewającą na 50 złotych od anteny. Na początku lipca zmieniono system akordowy — dwustu osiemu osobom miało płać 1500 zł za zmontowanie jednej anteny. Dawalo to ciut powyżej pięciu dychów na głowę, więc zespół dalej uczciwie produkował dewizy. 20 lipca dwie trzecie anten jakie miało być wyprodukowane w lipcu leżało w magazynie czekając na podróż w kierunku zachodnim i wtedy to się stało. Dyrekcja powiadomiła, że w lipcu zespół zrobił osiem setek za każdą antenę, no może jeszcze jakieś, być może i kto wie, pieniądze za pracę w godzinach nadliczbowych. W zespole zaszumiało, bo na rękę każdy miał dostać 23 złotych. Natężenia niezadowolenia nie zmniejszono, gdy zaproponowano 1000 zł na zespół (ale przy wzroście produkcji o 30 procent, bo taki przyszedł telex z Niemiec). Zespół montujący anteny uznał, że obowiązują i jest przyzwolta, stawka 50 zł od sztuki. Na takie dictum dyrekcja manifestacyjnie opuściła zebranie, na którym poinformowana została o przemysłeniach załogi.

Przesilenie nastąpiło 7 sierpnia — „antenniarzom” wciśnięto do rąk oświadczenie, że zgadzają się na 1000 zł oraz, że warunki pracy na wrzesień zostaną ustalone później. Ponieważ miejsca na podpis zostały puste, w dwa dni później „antenniarze” dostali inne kwity — tym razem były to wypowiedzenia. „Zdaniem naszym — stwierdziła dyrekcja firmy — pracodawca ma prawo zmienić stawkę akordową dla tego samego rodzaju zadania roboczego w każdym czasie po uprzedzeniu pracownika i nie wymaga to w żadnym wypadku wypowiedzenia zmieniającego” (wcześniej ustalona stawka — przyp. aut.). Monterzy uznali, że jest to gra nie fair i sprawa trafiła do sądu — „o uznanie wypowiedzenia za bezskuteczne”. „Ponieważ w naszym zakładzie — to z pozwu — nie działa żaden związek, dyrekcja tytułem zemsty postanowiła zwolnić prawie w całości Oddział (...), by nam pokazać, że nas można po prostu wyrzucić na bruk (...). Pozwani — jak sami stwierdzili — zgodzili się z zarzutami, ale — jak też sami co nieco obłudnie stwierdzili, zwłaszcza w porównaniu z cytowanym zdaniem dyrektora C. — sprawa leży w czym innym — czy ich postępowanie było zgodne z prawem.

Po trzech spotkaniach w sądzie pracy polscy kapitaliści nowej generacji zmienili twarz na bardziej ludzką i podpisali ugodę z najemnikami — „Strony zgodnie ustalają, że od 1 sierpnia 1990 roku obowiązuje stawka akordowa pracowników zespołu montażu anten samochodowych wynosząca 1160 złotych od jednej sztuki (...) dla całego zespołu 27-osobowego (...)”. Na tym sprawę zakończono i uznano za niebyłą.

Ale, ale... zespół liczył 28 osób, a w ugodzie jest mowa o 27. Jednym, którego zabrakło jest Marek D., który nie zgodził się na taką ugodę. Jego zwolnienie „jest wynikiem — uzasadnił dyrektor C. — przyjęcia postawy dalece destrukcyjnej wobec przedstawionych (...) propozycji placowych. Powyższa sytuacja może spowodować zerwanie umów eksportowych, a tym samym utratę pracy przez dużą grupę ludzi”. Koledzy Marka D. jak jeden mąż opowiedzieli sądowi coś zupełnie innego — pracował uczciwie, zawsze w potrzebie chętnie pomagał i jakoś nie zauważył jego destrukcyjnego ani działania, ani wpływu na nich. W sądzie dyrektor „Forzy” udzielił wyjaśnień cokolwiek pokrętnych. Pierwsze, że skoro powodowi nie przedstawiono zakresu obowiązków, to nie można powiedzieć czy z nich się wywiązywał. I drugie, że wykopany z pracy M.D. wykonywał należycie swoje obowiązki, ale „miał za dużo do powiedzenia i wykpiwał propozycje placowe dyrekcji”. Wysoki sąd wysłuchawszy głębokich i w przekonaniu dyrektora C. szczerzych wynurzeń, przyznał jednak rację do końca niepokornemu M.D. — zwolnienie z pracy uznał za bezskuteczne, co należy czytać i rozumieć: niezgodne z przepisami.

„Naszym zasadniczym celem jest zysk i nikt tego nie kryje” — szczerze głosi Cezariusz C. I dobrze, przedsiębiorczość i zarabianie pieniędzy jest teraz w Polsce bardzo modne i niech tak zostanie, tylko... No właśnie

BOGUMIŁ A. MAKOWSKI

coś. W grudniu ubiegłego roku „Solidarność Ziemi Łódzkiej” zorganizowała zbiórkę pieniędzy na rzecz naszego domu. Również nasi pracownicy dołożyli na ten cel część swoich pensji. Do tej pory nie otrzymaliśmy tych pieniędzy, ani też jakiegokolwiek z nich rozliczenia. Dzieci miały otrzymać owoce, paczki na święta... Bardzo nam na tym zależało, nalegałam, telefonowałam. W końcu po kilku rozmowach byłam umówiona na konkretny dzień. Czekaliśmy wszyscy, a przede wszystkim czekały dzieci. Nikt nie przyjechał i do tej pory nie mam informacji na ten temat”.

W Łódzkim Domu Pomocy Społecznej dla dzieci głęboko upośledzonych przebywa 155 pensjonariuszy, w tym 96 powyżej 18 roku życia. „To niezgodne z przepisami” — stwierdzili inspektorzy NIK — 61,5 proc. ogólnej liczby podopiecznych powinno znaleźć się w domach dla dorosłych”.

„Chcemy zaproponować pewien eksperyment — przez nas już sprawdzony — stwierdza pani Teresa. — Proponujemy zmianę nazwy naszego domu na: Dom Pomocy Społecznej dla Dzieci i dla Dorosłych, a tym samym zmianę jego profilu. Nie można w sposób bezwzględny przenieść dziecka, które ukończyło 18 lat w zupełnie inne środowisko. Zwłaszcza dotyczy to naszych dzieci. Mammy na to argument: upośledzone dzieci żyją krótko nawet we własnych domach, a u nas dożywają 4 lat i więcej”.

W wigilię ubiegłego roku dzieci otrzymały piękny prezent — pomieszczenie dla rehabilitacji. Cóż z tego, kiedy rehabilitantów brak. Gabinet stoi do dzisiaj praktycznie niewykorzystany. Brakuje wychowawców, lekarzy, pielęgniarek. W lipcu nie było w ośrodku ani jednego lekarza psychiatry. Kto jest temu winien?

„Żaden Dom Pomocy Społecznej w Polsce nie jest w idealnej sytuacji, ale uważam, że zaniedbania jakie miały miejsce na Spadkowej są znacznie większe niż w innych tego typu ośrodkach” — twierdzi Krystyna Osada, dyrektor Wojewódzkiego Zespołu Pomocy Społecznej. „Placówka bezpośrednio nadzorująca Domy Pomocy Społecznej, czyli Wydział Zdrowia otrzymywała łącznie środki na pomoc społeczną i na zdrowie. Ponieważ pieniędzy nie starczało ani na to, ani na to — zawsze ich podział odbywał się czymś kosztem. Smutne jest tylko to, że odbywało się to kosztem akurat tego domu. Najsmutniejszego domu.

Na pewno jest w tym вина jednostki nadzorującej, ale również w jakimś stopniu dyrekcji placówki. Myślę tu o jej nieudolności, bezradności”.

Przed dwoma laty Domy Pomocy Społecznej zostały przekazane do tzw. administracji podstawo-

wej; dzielnic, gmin. Naczelnicy dzielnic ze swoich funduszy mieli zapewnić im środki utrzymania bazy materialnej. „To był największy błąd jaki popełniła była Rada Narodowa” — twierdzi dyr Osada. Naczelnicy mieli mniejsze możliwości finansowania tych placówek niż budżet wojewódzki. Wszyscy się na to uskarżali, nie było pieniędzy. Od 1 stycznia placówki Pomocy Społecznej wróciły do województwa. O 1 kwietnia o finansach dla Domów Opieki decyduje dyr. Wojewódzkiego Zespołu Pomocy Społecznej”. W jaki sposób pomogliśmy domowi przy ulicy Spadkowej? — Zostaną przeprowadzone wszystkie najpilniejsze remonty m.in. przyłącza wody. Dom otrzymał 870 mln zł oraz 24 etaty dla wychowawców. Teraz trzeba wybrać dyrektora posiadającego własną koncepcję prowadzenia domu. Jest ogłoszony konkurs na to stanowisko. Pani Brzozowska zrezygnowała, nie weźmie w nim udziału.

W czasie, gdy w domu przy ulicy Spadkowej odbywała się kontrola NIK, w Wydziale Zdrowia czekało polanie — obecnie byłej już dyrektor domu — z prośbą o zwolnienie. Rozpatrzone je dopiero wtedy, gdy inspektorzy NIK sporządzili protokół końcowy. Nie zażądano ustąpienia dyrektorki, ale Wydział Zdrowia chcąc zakończyć sprawę — podanie skwapliwie podpisał.

Szukając byłej dyrektor domu znalazłam zgnębionego, wykończonego psychicznie człowieka. „Ja byłam tam od czarnej roboty” — wyznaje. — Pracowałam jak umiałam najlepiej, nie wyrządzając krzywdy dzieciom. Gdzie byli przez te wszystkie lata ci, którzy mnie dziś krytykują? Załuję jedynie, że nie byłam szalona w swych poczynaniach. Dziś, wstydę się sąsiadów, przemykam do własnego domu jak złodziej... Nie jestem mordercą, jakiego ze mnie zrobiono.

Drugie piętro głównego budynku ośrodka zajmują dzieci czołgająco-chodzące. Kilkunastoosobowe grupy chłopców — każda pod opieką jednego tylko wychowawcy. Istnieje projekt, aby utworzyć grupy 7-osobowe, ale trudno to sobie wyobrazić, gdy na jednego pensjonariusza przypada tu 4,5 m przy normie 6 m.

17-letni Tomek zaczął palić w wieku 6 lat. Półka ostre przedmioty: igły, haczyki, druty. W ubiegłym tygodniu podpalił Kazia. Cezary rysuje kółeczka i krzyżki — w tym się specjalizuje. Lucus — to cały gospodarz! Pomaga wszystkim. 28-letni Kazio biegnie w naszym kierunku krzycząc głośno: „Mama”. Pani Grams wyciąga do niego ręce. „Mama — to ja” — wyjaśnia nie bez dumy. Tylko jedyny Juruś stale ucieka i biegnie w kierunku Aleksandrowa...

## Zamiast „Ballady o wyborczej świni”.

— Syn wracał z religii, z kościoła, z dziewczynką z tej samej klasy. Przebiegali przez skrzyżowanie na zielonym świetle... A ten samochód bardzo szybko jechał. Dziewczynka zdążyła przebiec, chłopca samochód trzasnął i włókł spory kawałek. Wreszcie zatrzymał się, kierowca wyłączył światła, wysiadł, pochylił się nad dzieckiem. I chłopca, który był w stanie agonalnym, przeciągnął w ciemne miejsce, pod płot, gdzie go zostawił, wsiadł do samochodu i uciekł... Mam prawo domniemywać, że był pijany — tak zaczyna się magnetofonowy zapis, który przywozłem ze wsi Szynkielew, natrafiwszy tam zupełnie przypadkiem na tę ponurą sprawę.

Zatrzymajmy magnetofon...

Skąd się wziął w Szynkielewie? Doprowadziło mnie tam — też całkiem przypadkowe — spotkanie z Jankiem Blimelem, podziemnym do niedawna drukarzem, z którym szczególnie blisko przyszło mi współpracować w czasie zeszłorocznej kampanii wyborczej do parlamentu; ja, bezrobotny od stanu wojennego dziennikarz, zajmowałem się z ramienia WKO „Solidarność” promocją kandydatów, a Jaśko Powielacz, jak go nazywaliśmy, drukował nasze biuletyny, komunikaty, ulotki, „wyborcze ściagi”.

— Co słyhać, Jaśku? — a widzę, że mina markotna.

— Ano, procesuję się wciąż ze Słowikiem — odpowiada, co nie jest dla mnie nowością, bo wiem przecież, że przewodniczący ZR NSZZ „Solidarność”, objawszy po wyborach lokal przy ul. Buczka 18, zwolnił personel byłej RKO, zatrudniony

tu przez jego poprzednika, Ryska Kostrzewę. — Nie tak to sobie wyobrazałem. Myślałem, że jak obalimy komunę, to...

Zawiesza głos i macha ręką. Częstoje się „Extra Mocnym”, po którego sięga bezceremonialnie do kieszeni mojej koszuli. Zaciąga się dymem i powiada na odchodne:

— A ty? Słyszałem, że lada moment znów będziesz bez pracy. Ledwie wróciłeś do zawodu... I pomyśleć, po to zbierałeś ciężę przez tyle lat? Swoją drogą, powinszowania w dziesiątą rocznicę!

Traf chce, że spotykamy się 31 sierpnia. Trafem też dziwnym, o parę kroków od budynku przy ul. Piotrkowskiej 41, gdzie na parterze działał wyborczy punkt łódzkiego WKO „Solidarność”. Spędziłem tu wiele tygodni, dzień w dzień, od świtu do nocy... Wspomnienia... Ledwie Jaśko Powielacz oddała się, przypomina mi się, jak to na parę dni przed wyborami wpadł do tego lokalu energiczny mężczyzna, blondyn około pięćdziesiątki.

— Rolnik jestem, spod Łodzi — powiada. — Zaglądam tutaj, do was, widzę, jak harujecie w świętek, piątek. Wiem, nikt wam za to nie płaci, do swojej pracy dokładacie nierządki i własne pieniądze. Wiem, przecież widzę, co się tutaj wyrabia, a mało was! Ludzie nie chcą, boją się. Bardzo chciałbym wam pomóc. U siebie, na wsi, robię, co się tylko da, ale na Boga, pola nie zostawię, inwentarza nie opuszczę... Niech się pan nie śmieje, ale ja hoduję świnię, ja bym więc może wniósł taką praktyczną „cegiełkę” do kampanii wyborczej: świnię bym zabił, oprawił — dla tych ludzi,

co tak przy wyborach tyrają... No, co pan na to?

W najbliższą sobotę niestudowany Piotr Mater — wiceprzewodniczący RKO NSZZ „Solidarność”, a zarazem nieformalny szef wyborczej akcji — pojechał po rąbankę.

„Ballada o wyborczej świni” — temat na wdzięczny reporterski obrazek, którego konstrukcję — niby muzyczna — obmyśliłem w szeregach. Teraz tylko wypełnić ją treścią, odszukać rolnika, wspominać dni pełne napięcia i nadziei. Dni — mimo wszystko — piękne. Dzwonię więc do Piotra Matera, który wrócił po wyborach do „Foniki”. Na szczęście, pamięta, przejrzy swe notatki. Niezawodny, oddzwania w godzinę po moim telefonie:

— Mam namiary: Józef No-

przód i bok samochodu od strony prawej krawędzi jezdni, patrzyłem też, czy nie ma czegoś z tyłu. Niczego nie znalazłem. Odniosłem wrażenie, że ktoś celowo rzucił mi jakiś przedmiot na maskę, który musiał się stoczyć i ten ktoś zabrał go, uciekając. Nie zauważyłem jednak nikogo w pobliżu: jezdni była pusta, chodniki też. Wsiadłem więc do wozu i odjechałem.”

Ulica nie była jednak pusta.

Krzysztofowi w drodze z kościoła do domu towarzyszyła rówieśnica, koleżanka z klasy szkolnej i katechetycznej, sąsiadka ze wsi — Ania Czaja, na pobliskim zaś przystanku autobusowym czekały dwie 17-letnie licealistki, Magdalena Bartuzel i Anna Siwek. Wszystkie trzy zadały w śledztwie kłam zeznaniom doktora M.

## Ile jest ludzkiej krzywdy, ile

### JACEK INDELAK

wicki, Szynkielew 21. Można od Konstancynowa albo od Pabianic. Zaraz ci dokładnie wytłumaczę...

Nie o wyborczej jednak świni rozmawiam w Szynkielewie.

\* \* \*

2 października 1985 roku około wpół do ósmej wieczorem na skrzyżowaniu ulic: Partyzanckiej i Nowotki w Pabianicach przejeżdżający z dużą prędkością „Polonez” potrafił na pasach dla pieszych 9-letniego Krzysztofa Nowickiego. Sprawca wypadku zatrzymał się wprawdzie, nie po to jednak, by udzielić pomocy swej ofierze, ale by podjąć próbę zatarcia śladów i zbiec z miejsca wypadku.

Takie są fakty, którym tak wówczas — jak i dziś — zaprzeczał on stanowczo, mimo oczywistych ustaleń śledztwa.

— To był doktor psychiatra — mówi ojciec dziecka. — Mieszkaniec Łodzi, a pracujący w pabianickim szpitalu, gdzie kierował poradnią i oddziałem psychiatrycznie chorych. On ta trasą jeździł od wielu lat, dobrze ją znał. Tam, w pobliżu, są dwie szkoły, są znaki drogowe nakazujące szczególną ostrożność.

Doktor Andrzej M. zeznał w śledztwie:

„Jechałem z pracy do domu. Wjeżdżając na skrzyżowanie, zwolniłem nieco z powodu szybko przebiegającego przez jezdnię chłopca, który biegł przy swoim czerwonym świetle. Obawiając się, że może pojawić się na jezdni drugi chłopiec, jechałem wolno. Nagle, po prawej stronie, na masce samochodu pojawiło się coś w rodzaju pudła, teczki lub torby. Usłyszałem odgłos uderzenia. Natychmiast zatrzymałem samochód i wysiadłem, szukając tego przedmiotu lub potrąconego człowieka. zgasiłem światła mijania i zapaliłem postojowe, aby odblask mnie nie raził. Dokładnie obejrzałem

Anna Czaja zeznała:

„Ja przebiegłam jezdnię jeszcze na zielonym świetle, Krzysiek już na czerwonym. Nagle usłyszałam odgłos hamowania i uderzenia. Wówczas wróciłam do przejścia i zobaczyłam, że przy prawej krawędzi jezdni, przy drewnianym słupie stoi polonez. Za nim, od mojej strony leżało coś, co wyglądało na szmatę lub ścierekę. Kierowca wysiadł z samochodu i pewnym krokiem podszedł do tej „szmaty”. Wtedy zorientowałam się, że ta „szmata” jest leżący na jezdni Krzysiek. Kierowca doszedł do Krzyska, złapał go za rękę i przeciągnął na chodnik, a następnie ułożył za słupem. Mężczyzna ten nie przyglądał się Krzyskowi, miał zupełnie wygaszone światła. Jestem pewna, że kierowca przeciągnął Krzyska na chodnik, gdyż pomimo że w tym miejscu było ciemno, to dalej ulica była oświetlona i na tym tle dobrze było widać sylwetkę kierowcy. Gdy samochód odjechał, podbiegłam do słupa i zobaczyłam Krzysia leżącego twarzą do ziemi.”

Gdy czytam te zeznania, zbiera mnie dreszcz grozy i obrzydzenia, chociaż niejednego już w życiu doświadczyłem... Widziałem też kiedyś kierowcę, który potrafił bezpieczeństwa kundla, a potem kłęcząc na poboczu jezdni, trzymając w rękach okrwawione zwierze. I płakał. A kiedy pies zdechł, kierowca pogrzebał go w przydrożnym rowie.

Sprawa — zdawałoby się oczywista, zwłaszcza że obie licealistki nie tylko potwierdziły lecz i uzupełniły zeznania małej Ani: widziały, jak „Polonez” przez chwilę wioził na masce „coś”, co okazało się rannym chłopcem. Kierowca wprawdzie uciekł, ale Magdalena zapamiętała numer rejestracyjny. Obie przebiegły przez jezdnię, do porzuconej pod słupem ofiary wy-

### HURTOWNIA ART. PAPIERNICZYCH BIUROWYCH

„POL-RUS” Spółka z o.o.  
Łódź, ul. Tkacka 9A  
tel. 78-43-64, telex: 886622

1. Papier ksero kolor 500 ark. import — 50.000 zł (A4, A3, A2, A1)
  2. Papier ksero 500 ark. polski — 33.000 zł, import — 39.000 zł
  3. Papier maszynowy 500 ark. polski — 23.000, imp. — 29.000 zł
  4. Papier offset maszynowy A1, A2, A3, A4, papier satynowany, kredowany 500 ark. imp. — 28.000 zł
  5. Papier kreda 60 g/m kw. do 400 g/m kw. import, cena 1 kg 9—15 tys. zł
  6. Bristol, chromokarton B0, A1 imp. — 3.700 zł arkusz
  7. Kalka techniczna syntetyczna i pergaminowa, import, arkusze, role
  8. Papier telefax — import, wszystkie rodzaje, ceny od 36.000 zł
  9. Papier telex — wszystkie rodzaje, ceny od 3.200 zł za rolkę
  10. Papier komputerowy — składanka, rolki — wszystkie rodzaje
  11. Taśma Dalton, taśma do kas komp. — wszystkie typy
  12. Taśmy do maszyn, korektorki do maszynopisu „Tip-pex” imp.
  13. Etykiety towarowe, komputerowe i zwykłe, wszystkie rodzaje, ceny najniższe w kraju
  14. Papier i folie samoprzylepne, 10 kolorów, arkusze i role
  15. Artykuły biurowe — pióra, długopisy, segregatory, koperty
  16. Papier czerpany — import A2, A4, koperty
- Towar dostarczamy bezpłatnie. Płatne czeki i gotówką, przelewem — tylko urzędy adm. państwowej.



padku. Mały był w szoku, okrwawiony...

Pogotowie ratunkowe zawozi Krzysia do pabianickiego szpitala, gdzie pozostanie on na długo. Obrażenia są poważne: rana tłuczona głowy, złamanie kości udowej z przemieszczeniem i odłamkami, złamanie trzech żeber, pęknięta nerka. Pomoc przyszła w porę, wstrząs pourazowy mógł bowiem — zdaniem lekarzy — spowodować w każdej chwili śmierć dziecka. Pozostawienie go więc bez pomocy w tym stanie było równoznaczne ze skazaniem go na śmierć. A zatem gdyby nie mała dziewczynka, gdyby nie dwie licealistki, Krzys nie mógłby już nigdy nikomu opowiedzieć, co się naprawdę wydarzyło na skrzyżowaniu Partyzanckiej i Nowotki.

włada — wyzbywa się wszelkich złudzeń. Wie, że jeśli pozostawi sprawę własnemu biegowi, pozostanie na zawsze tam gdzie znalazł się u startu, na straconej pozycji, jak jego dziecko porzucone pod płotem.

— Ja nie jestem taki tępy facet — wyjaśnia. — Troszkę wiem, co znaczy prawo. Trochę czytałem na ten temat, ja w ogóle czytam bardzo dużo. Nie kończyłem studiów, bo byłem synem kuliaka, ale do książek zawsze mnie ciągnęło... W parę dni po wypadku jestem u Kiszczaka. Wiem, że nie do sierżanta, kapitana muszę się dostać, ale do samego szefa, bo nie z tego nie będzie. Siedziałem tam pół dnia, Kiszczak mnie, oczywiście, nie przyjął, ale szybko się zorientowali, że facet stąd nie wyjdzie, póki sprawy nie

I wreszcie — nie zbadano, czy sprawca wypadku był trzeźwy. I nikt już nigdy tego nie ustali, bo wprawdzie pobrano mu krew, ale krwi tej w porę nie zbadano. Co gorsza, obie fiolki trafiły „omyłkowo” do Łodzi, chociaż jedna miała być przesłana do Poznania, gdzie dotarła — po interwencjach — via Pabianice, rozpieczętowana. po trzech dalszych tygodniach przechowywania w jakiejś szafie.

Interwencje skutkują o tyle, że 7 listopada 1985 roku przeprowadzona zostaje wizja lokalna.

— Wizja lokalna była na dużą skalę — wspomina. — Mnie od niej odsunęli, bo ja mogłem wszystko popsuć. ZOMO obstawiło pół miasta, elektrownia nawet prąd wyłączyła, bo według doktora było wtedy bardzo ciemno. A faktycznie to było widno i było sucho. Ale cóż, pozwolili jemu dyktować warunki...

Specjaliści z Wydziału Kontroli Ruchu Drogowego KW MO w Łodzi stwierdzają po eksperymencie m.in.

„...Wskazania dr M. pozostają w wyraźnej sprzeczności z poczynionymi ustaleniami dotyczącymi prędkości poruszania się poloneza (...) w istniejących w czasie wypadku warunkach drogowych kierowca miał możliwość uniknięcia kolizji nawet przy prędkości 60 km/godz.”

Pod koniec roku śledztwo z Pabianic przejmuje Prokuratura Rejonowa Łódź-Polesie, specjalizująca się w wypadkach drogowych. Trzymiesięczna zwiłoka pozostawia jednak trwałe braki w materiale dowodowym.

— Zmusiłem ich do działania, musieli w końcu wnieść akt oskarżenia — mówi J. Nowicki. — Ale mafia nie dała za wygraną, uruchomiła wszelkie sprężyny, żeby sprawie leb ukręcić. Bardzo się tu napracował pabianicki prokurator Sławomir Sobczak. Był wtedy i jest nadal, nie się

nie zmieniło. To jest główny sprawca pięcioletniej gehenny. To on od samego początku namawiał świadków do składania fałszywych zeznań. Dziesiątki razy przesłuchiwał tę małą, a ona wciąż mu mieszała szyki, nie, tylko w kółko powtarzała to samo. Kiedy zorientował się, że nie wie, powiedział jej, żeby zapomniała o wszystkim, bo żadnej sprawy nie będzie. Tak postępuje prokurator?

Zarzut nie jest gotosłowny, potwierdziły go zeznania ojca Ani Czai przed Sądem Wojewódzkim w Kaliszu. Dziewięć lat później... Swoją drogą, metody pracy tego prokuratora i ja miałem okazję poznać jeszcze w czasach, gdy był szefem Prokuratury Rejonowej w Łowiczu (por. J. Indelak: „Strach w kolorze blue”, „Odgłosy” nr 10 i 11, marzec 1990).

Tak czy inaczej, 24 stycznia 1986 roku prokurator Maciej Uzdowski z łódzkiego Polesia przedstawił doktorowi M. akt oskarżenia, w którym zarzucił mu...

„...że na skutek niezachowania szczególnej ostrożności i należytej obserwacji drogi potrafił (...) Krzysztofa Nowickiego, czym spowodował u niego obrażenia ciała i wynikający z nich wstrząs pourazowy, a więc chorobę zazwyczaj zagrażającą życiu, czyli przestępstwo z art. 145 par. 2 KK oraz że będąc lekarzem, nie udzielił pomocy człowiekowi znajdującemu się w położeniu bezpośrednio zagrażającemu utratą życia, odjeżdżając z miejsca wypadku, tj. o czyn z art. 164 par. 1 KK”.

Doktor nie został aresztowany, za sprawą poręczenia czterech kolegów.

I na tym powinien być koniec, ledwie to jednak początek...

DALSZY CIĄG NA STR. 12

## wyplakanych lez...

— Z chwilą ustalenia sprawcy organa ścigania zaprzestały wszelkich działań — mówi J. Nowicki — jakie się prowadzi po takich wypadkach drogowych. Gorzej, bo zaczęto od początku sprawę fałszować. Okazało się, że sprawca, to człowiek nietykalny. A dlatego był nietykalny, proszę pana, że Kiszczak dał mu krzyż za wybitne osiągnięcia w zakresie umacniania socjalistycznej praworządności. Wtedy właśnie dostał pismo, że przyznano mu takie odznaczenie. Jak się nasze organa dowiedziały, to jakże, skoro Kiszczak dał krzyż, a ten człowiek zrobił straszną rzecz, należy ją czym prędzej zatuszować. A do tego, kim jest ojciec dziecka? Chłop ze wsi, co świnie hoduje...! Syn leżał w bardzo ciężkim stanie w szpitalu, przesiedziałem do rana, a rano idę na komendę. I co ja widzę? Coś, co mnie zmusza do podjęcia natychmiastowej interwencji. Otóż, pan doktor schodzi z góry w towarzystwie dwóch milicjantów. Z uśmiechem na ustach idzie na przeciw mnie. A ja? Ja po nieprzespanej nocy, w ciągłym łęku, przeżyje dziecko, nie przeżyje? Doktor śmieje się, ja mówię: „Proszę pana, pan pozostawił mojego syna, porzucił pod płotem, I już pan wychodzi na wolność?” A on na to: „Idź pan ze swoim synem!” Machnął na mnie ręką, jakby się oganiał. „Ja ci nie przejechałem syna, tęczę przejechałem jakąś”. I się śmieje. Nie wytrzymałem, zawołałem: „Pan jest bandyta”. Na to jeden z milicjantów: „Powtórz to!”. Ja mu na to: „Jeśli mnie pan uderzy, ściągnie pan zaraz ten mundur!” Widzieli, w jakim jestem stanie, dali mi więc spokój, poszli inną drogą, na tyły komendy. Wypuścili go, nie zatrzymali nawet samochodu.

Od tego momentu — jak po-

złatwi. Splawili mnie w końcu do KG MO. Czekal na mnie jakiś cywil, podobno generał, od spraw łamania prawa czy coś w tym stylu. Spisał, co mu powiedziałem, orzekł, że to nieprawdopodobne, żeby wypuścili doktora, skoro nie przyznał się do winy. Obiecał, że wszystkim się zajmą? Zaufać mu? Pojechałem prosto do komendanta łódzkiego — gen. Moczковского. Wymusiłem, żeby mnie przyjął. Powiedział, że bym spokojnie wracał do domu i zajął się robotą w polu, major bierze sprawę, a on sam będzie sprawował nadzór. Aha, myślałby kto, gdybym uwierzył. I tak oto zaczęły się moje pięcioletnie zmagania z organami ścigania i wymiarem sprawiedliwości. Moja walka o prawo.

Interwencja pierwsza, nie ostatnia. Kolacze później do różnych urzędów i instytucji, śle pisma, prośby i skargi. Do Ministerstwa Sprawiedliwości i Prokuratury Generalnej, do KC PZPR, Episkopatu Polski, do prasy radia i telewizji, do Jaruzelskiego i Wałęsy... Pierwsza interwencja przedwczesna? Nie, spóźniona, bo pabianicka milicja i prokuratura zdążyły już zrobić swoje, raczej zaś swojego nie zrobić, a w szczególności:

- nie sporządzono szkicu miejsca wypadku.
- nie zabezpieczono odzieży i obuwia dziecka.
- nie dokonano oględzin samochodu doktora.
- nie przeprowadzono eksperymentu śledczego.
- nie powiadomiono o dochodzeniu Wydziału Zdrowia i Sądu Wojewódzkiego w Łodzi, gdzie doktor M. występuje jako biegły.

## WANDEX sp. z o. o.

Warszawa, ul. Elektoralna 14a/1  
tel. 20-46-47, tlx 825511

- kserokopiarki
- xerox od 9.9 mln zł
- canon
- telefaxy canon
- telefaxy z autom. sekretarką panasonic
- materiały eksploatacyjne, tonery

1.

„...państwowość polska może zachować gwarancję swojego istnienia wobec potężnych sąsiadów ze wschodu i zachodu, jedynie jeżeli Warszawa rozpocznie proces porozumienia, prowadzący do długotrwałego sojuszu i współpracy z obryzłym potencjałem gospodarczym i ludzkim Lwowa i Kijowa.

Była, wzajemna niechęć narodów polskiego i ukraińskiego jest wynikiem krótkowzroczności przedwojennych polityków, podstępnej polityki przesiedleń praktykowanej przez niemieckiego okupanta, a także powojennej mitologii stworzonej przez niegodziwie manipulowanie faktami z historią...”

Jest to fragment listu rozeslanego do kilku polskich instytucji oraz redakcji polskich pism przez k. dr Zbigniewa Zielińskiego — prezydenta „The Polish Historical Society”.

Stwierdzenie to, choć zawiera prawdy i mity wzajemnie pomieszane, to dotyczy bardzo istotnego problemu polskiej polityki wschodniej. Warto zatem rozsunąć ten węzeł prawd i mitów.

2.

Jeśli jakaś prawda zawiera się w dowcipie, że Pan Bóg chciał zrobić na złość megalomańskim Polakom i umieścić Polskę między Rosją i Niemcami, to również może być prawdą, że zrobił podobny „dowcip” Ukraińcom i umieścił Ukrainę między Polską, Rosją i Turcją, a na dodatek wzbudził nią zainteresowanie u Austriaków, Węgrów i Niemców. Ale można też powiedzieć, że uczynił z Ukrainy próbiez politycznej mądrości narodów z nią sąsiadujących. Polacy pierwsi wykazali się brakiem politycznego rozsądku i zrobili wszystko, aby zrazić do siebie Ukraińców. „Dzieje Kozaczyzny — pisze Maciej Kozłowski w książce „Między Sanem a Zbruczem” — i stosunków Siacy Zaporoskiej z Rzeczpospolitą to niebawem wręcz rejestr aktów politycznej ślepoty, posuniętego do narodowej ignorancji polskich czynników politycznych”. Co więcej, Zgadza się on z poglądem Zbigniewa Wójcika, że „właściwy wyrok na Rzeczpospolitą zapadł pod Korsuniem i Żółtymi Wodami, pod Zbarażem i Beresteczkiem. Późniejsze o sto kilkadziesiąt lat rozbiory były już tylko egzekucją tego wyroku”. Wprawdzie nazwy wspomnianych wyżej miejsc znamy wszyscy z „Ogniem i mieczem” Henryka Sienkiewicza, ale przypomnę, że wojna kozacka wybuchła w 1649 roku, do oblężenia Zbaraża doszło 10 lipca tegoż samego roku, a bitwa pod Beresteczkiem toczyła się od 28 do 30 czerwca 1651 roku. Tegoż roku doszło do ugody w Białej Cerkwi W trzy lata później — w 1654 roku — była ugoda w Perejasławiu, kiedy to starszyzna kozacka poddała Rosji lewobrzeżną — zednieprzańską Ukrainę.

Ugoda perejasławska zmieniła bieg historii tak Polski, jak i Ro-

sji, a także zaciążyła nad dziejami Ukrainy. Dziś na Ukrainie trwa spór nad pytaniem: czy był to tylko „sojusz taktyczny”, jak chcieliby jedni, czy też „akt trwałej orientacji”, jak chcieliby inni. Dla Ukraińców nie jest to jedynie spór tylko historyczny, ale decydujący o ich teraźniejszości. Jeśli bowiem był to „akt trwałej orientacji”, a ZSRR jest spadkobiercą „jedynnej i niepodzielnej Rosji”, to wszelkie marzenia o suwerenności nie mają żadnego znaczenia.

Dla nas natomiast nie ulega wątpliwości, że po wojnach kozackich, po rozejmie zawartym w 1667 roku w Andruszowie, kiedy Polska zrzekła się Smoleńska, Ukrainy zadnieprzańskiej, Czernihowszczyzny i Kijowa — teoretycznie tylko na 2 lata, ale okazało się, że na zawsze — po pokoju zawartym w Moskwie przez wojewodę poznańskiego Krzysztofa Grzymułtowskiego w 1686 roku, który Polska ratyfikowała dopie-

ci zemsty, nie budziła potrzeb buntu.

3.

W połowie XIX wieku rodzi się ruch narodowościowy Ukraińców. W 1846 roku powstało w Kijowie Ukraińsko-Siowiańskie Stowarzyszenie Cyryla i Metodego, w którym działali między innymi Mykoła Kostomarov i Taras Szewczenko. Pisał oni:

Taras Szewczenko:  
„Przyjdzie czas, że padnie Cerkiew-grób, a spod jej gruzów

Ukraina wstanie!  
I rozproszy mrok niewoli,  
Światło prawdy wznieci,  
Wolne będą się modliły  
Niewolników dzieci!”  
Mykoła Kostomarov:  
„Chwała, cześć wam, bracia

Lachy,  
Wieczne pojednanie!  
Zginą pany, obłudnicy,  
Wolność zmartwychwstanie!  
Chwała tobie, Ukraino!”

## Błękit nieba nad złotem łanów pszenicy

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

ro po 24 latach, straciła Rzeczpospolitą swoją mocarstwową pozycję, a Rosja zyskała możliwość rozwijania swojej ekspansji na południu, w kierunku Morza Czarnego i Kaukazu. I jak wiemy — z możliwości tych skorzystała. Ukraina natomiast szła już nieuchronnie pod panowanie rosyjskie, co w konsekwencji równało się rusyfikacji, a ta rodziła walkę o niezależność, która to walka zresztą toczy się do dziś.

Rozpoczyna się też proces wykorzystywania ukraińskich ciągów do samodzielności przez różne siły. W bitwie pod Poltawą w czerwcu 1709 roku u boku Szwedów walczyli kilka tysięcy Kozaków pod wodzą hetmana Ukrainy Iwana Mazepy. Jest to ostatni hetman wybierany, później już tylko Rosja mianowała hetmanów, a w 1734 roku i tego zaprzestano, choć nie była w tym konsekwentna, bo w 1750 roku mianowano hetmanem ukraińskim Cyryla Razumowskiego. W okresie Konfederacji Barskiej (1768—1772) Rosja wykorzystwała nienawiść ukraińską dla zahamowania działań wojsk konfederacyjnych na Ukrainie, wywołując kolizyjną — albo hajdamacką — podrywając do rzezi Polaków ukraińskich chłopów pod wodzą Iwana Gonta i Maksyma Zeleźniaka. W samym tylko Humanu wyróżniło 20 000 ludzi. Później wojska rosyjskie brały udział wraz z wojskami korony w tłumieniu tego oowstania. Jeszcze wielokrotnie dawał się Ukraińcy wykorzystywać w grach politycznych prowadzonych przez innych, a krwawy cień tych czynów kładzie się na stosunkach polsko-ukraińskich do dziś. Wszakże nie wynika z tego wcale, że Polacy byli bez winy, że polityka polska wobec Ukrainy i Ukraińców, polityka kresowej szlachty, a przede wszystkim magnaterii, nie rodziła chę-

W 1876 roku musiał z Kijowa emigrować Michał Drogomanow, zwolennik autonomii Ukrainy. W dwa lata później car Aleksander II wydał tajny ukaz zabraniający wydawania po ukraińsku różnych druków z wyjątkiem dzieł literatury pięknej i druków religijnych, ale pod warunkiem, że zachowają starą pisownię. Język ukraiński uważano wtedy za gorszy, chłopski, sztuczny. Proces rusyfikacji przebiegał nierównomiernie, najsilniej na Ukrainie zadnieprzańskie, silnie na Ukrainie prawobrzeżnej i najsłabiej na Ukrainie Zachodniej. W tym czasie swobodniej rozwija się inteligentki i narodowy ruch ukraiński we Wschodniej Galicji, która pozostawała pod zaborem austriackim.

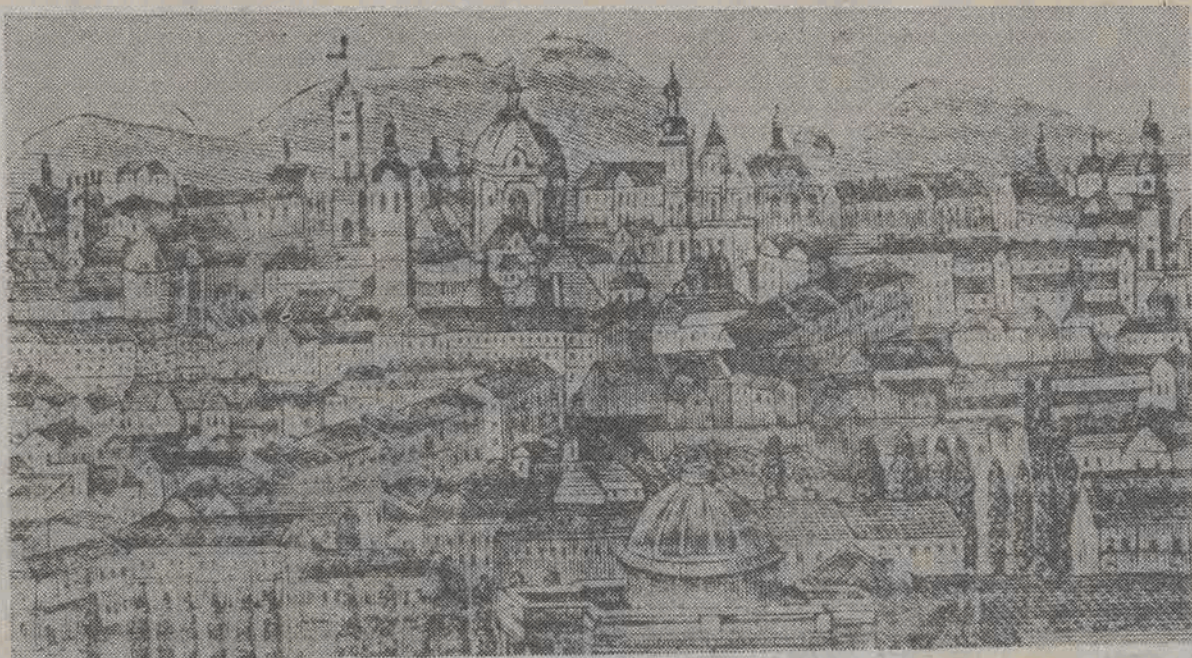
Wołania Tarasa Szewczenki o suwerenność Ukrainy towarzyszyły nieustannie w walce, którą wiodli Ukraińcy. Dlatego w najbliższej przeszłości doczekał on wprawdzie pomnika w Kijowie, ale już tylko alei we Lwowie. Lwów bowiem uważano w ZSRR za kolebkę nacjonalizmu ukraińskiego, a Rostysław Bratuń — ukraiński poeta — opowiada chętnie, jak to pewien aparatczyk miejskiej instancji partyjnej we Lwowie wszędzie dopatrywał się tryzub i w tej gorliwości zaczął utracić... trójząb Neptunowi. Współcześni Ukraińcy dowodzą, że tryzub występował już na Rusi Kijowskiej i można go identyfikować albo jako świecznik, albo jako zwieńczenie berła, albo jako rybacki oścień, a najlepiej jako cień leżącego sokola. Natomiast barwy niebiesko-złote — sztandaru niepodległej Ukrainy — wywodzą się z barw domów ruskich książąt i chorągwi kurzeni kozackich, choć najbardziej przypada mi do przekonania wyjaśnienie, że jest to błękit nieba nad złotem ukraińskiej pszenicy.

Wielka wojna białych ludzi rozpoczęta strzałami w Sarajewie w 1914 roku przywróciła Ukraińcom nadzieje na utworzenie własnego państwa. To, co udało się Polakom, Słowakom i Czechom, co udało się południowym Słowianom, nie udało się Ukraińcom. Wprawdzie Rząd Tymczasowy powołany w lutym 1917 roku w Petersburgu obiecywał Ukrainie autonomię, ale nie kwapił się z realizacją tej obietnicy, o co nawet Włodzimierz Lenin miał pretensje do tego rządu. Ale już w październiku 1917 roku zmienił zdanie i był przeciwny autonomii Ukrainy. W tym to czasie Jurij Piatakow — przywódca słabej partii bolszewickiej na Ukrainie — nie krył w polemice z „Uniwersalem” Ukraińskiej Rady Centralnej, że nie ma po co popierać Ukraińców w ich wolnościowych dążeniach, bowiem „Rosja nie może istnieć bez ukraińskiego przemysłu cukrowego, to samo można powiedzieć o węglu”.

A czegoż takiego chcieli Ukraińcy w „Uniwersale” opublikowanym 13 czerwca 1917 roku?

„Odtąd — głosił „Uniwersał” — Ukraina będzie Ukraińską Republiką Ludową. Nie oddzielając się od republiki rosyjskiej i zachowując jej jedność, twarzo staniemy na naszej ziemi, by wszystkimi siłami udzielić pomocy całej Rosji, aby cała Republika Rosyjska stała się federacją równych i wolnych narodów”.

Dziś zresztą Ukraińcy również dążą do tego, aby demokratyczna Ukraina, zasobna, narodowo odrodzona, ze sprawnie działającym systemem socjalistycznych zabezpieczeń, rzeczywiście suwerenna była członkiem odnowionej rzeczywistej federacji wolnych republik. Ale to również wydaje się wielu ludziom w ZSRR niebawem śmiały i rewolucyjnymi żądaniem. Warto pamiętać, że wszyscy dowódcy białych armii w czasie wojny domowej w Rosji stali na stanowisku „jedyni i niepodzielni Rosji”, w skład której wchodziła nie tylko Ukraina, ale i „Prywiślanski Kraj”. Stanowisko to podzielał również Józef Stalin, który w 1939 roku, wspólnie z Adolfem Hitlerem uchwalił Traktat Wersalski i wcielił do ZSRR te ziemie i te narody, które Rosja utraciła decyzjami Traktatu Wersalskiego. 31 sierpnia 1939 roku Władysław Mołotow uzasadniając utworzenie niemiecko-rosyjskiego sojuszu przekonywał Radę Najwyższą ZSRR, że to Niemcy i Rosja najwięcej straciły w wyniku I wojny światowej. Wtedy którzyś z deputowanych głośno krzyknął: — Racja! Ale stan posiadania Rosji sprzed 1914 roku nie obejmował Ukrainy Dopiero na podstawie postanowień jałtańskich z 1945 roku wszystkie ziemie ukraińskie znalazły się w obrębie ZSRR.



Panorama Lwowa

Próbowali Ukraińcy tworzyć własne państwo w 1917 roku, w 1918 we Wschodniej Małopolsce, w 1920 roku, gdy Józef Piłsudski usiłował spełnić ideę federacji Polski, Ukrainy, Białorusi i Litwy. Wszystko były to próby nieudane. Próbowali i w 1939 roku, na Zakarpaciu. Radośnie i z nadzieją witali Armię Czerwoną na Wołyniu i Podolu. Próbowali w 1941 roku, gdy Wehrmacht zajął Lwów a później Kijów, ale oba utworzone tam rządy ukraińskie zostały aresztowane przez Niemców. Toczyli walki na zachodniej Ukrainie długo jeszcze po 1945 roku. Jako dowód na to można przytoczyć rozkaz nr 312 ministra spraw wewnętrznych W. Riasnego, który 30 grudnia 1949 roku wzywał Ukraińców do... składania broni. Wśród tych, do których adresowany był ten rozkaz wymieniali się również młodzież, która uciekła ze szkół przyzakładowych, fabryk, donieckich kopalni. Wszystkim im obiecywano amnestię. Niektórzy podają, że na zachodniej Ukrainie walki trwały do początku lat pięćdziesiątych.

Obecne dane utrzymują, że w Ukraińskiej SSR mieszka 51,7 miliona ludzi, ale tylko 75 procent stanowią Ukraińcy. Pozostała ludność — to między innymi Rosjanie, Polacy, Ormianie, Żydzi. Ale i w różnych częściach ZSRR znaleźć można wielu Ukraińców. Nie brakowało ich w łagrach. Stalinowska polityka narodowościowa polegała na tym, że przesiedlano ludność całych rejonów. Gdy z Wołynia i Podola Polacy jechali na zachód, na wschód szły transporty Ukraińców. Wywożono całe wsie. Można więc dziś znaleźć Ukraińców we wszystkich republikach ZSRR. Nie zawsze osiedlali się tam z własnej woli.

4.

W cytowanym na wstępie liście mówi się: „była, wzajemna niechęć”. Można to tak określić. Ale przeczą takiemu łagodnemu określeniu fakty. To wielokro-

nie była niechęć, to była nienawiść. To bywało też zimne wyrachowanie. Już w 1908 roku przywódca ukraińskiego klubu parlamentarnego w Wiedniu, a późniejszy dyktator Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej (Galicja Wschodnia) Jewhen Petruszewycz tak zwracał się do Polaków w sejmie krajowym:

— „Przywróćcie nam nasze prawa. Usunąć się stąd, to nasz kraj. Przeciwstawimy się wam tu w sejmie i w całym kraju taką burzą, że drzeć będziecie nawet zastąpić całą armią”.

To był rok 1908 — przypominam. Myśl tę zrealizowały w krwawych mordach ukraińskie formacje wojskowe: „banderowcy”, „bulbowcy”, „melnikowcy” w latach 1943—1944 na Wołyniu i Podolu. W literaturze przedmiotu nazywa się to „depolonizacją Wołynia i Podola”. Krwawe łuny barwiły wówczas niebo nad polami Wołynia i Podola. Jako 14-letni chłopiec widziałem w Zdobunowie na ulicy Fabrycznej, jak Węgrzy — którzy w mieście tym stacjonowali i chętnie występowali w obronie wyrzynanych Polaków — powadzili brodatego „dziadźkę” z zakrwawioną siekierą na ramieniu. Tą siekierą poprzedniej nocy rąbał Polaków we wsi Tajkury. Potem opowiadano sobie szeptem, że „dziadźkę”, przekazanego niemieckiej żandarmerii, nazajutrz puszczono wolno.

Ale i muszę — gwoli sprawiedliwości — opowiedzieć, jak to latem 1945 roku, gdy w rejonie Kwasitowa — wieś czeska pomiędzy Równem a Zdobunowem — zawitali polscy partyzanci z północnych rejonów Wołynia, z pogranicza Polesia. mój starszy kolega — już wówczas partyzant Zbyszek Serafin, opowiadał nam, że oni mścili się po rzezi wsi polskich na wsiach ukraińskich. Przez wieś szła grupa partyzantów z radzieckimi granatami przeciwzołgowymi. Granaty te wrzu-

ciano do ukraińskich chałup i po przejściu wsi tylko dymy unosiły się nad płonącymi strzechami.

Już jesienią 1939 roku stała się Ukraina widownią niebywale skomplikowanej sytuacji. Skrzyżowały się tu interesy ludności ukraińskiej, która nie kochała polskich władz, bo i kochać ich nie mogła, biedoty żydowskiej, której wydawało się, że Armia Czerwona rzeczywiście niesie im upragniony raj, polskich osadników którzy czuli się przegrany, bo i Polski już nie było i wokół morze nienawiści. W takich warunkach nie trudno o wyzyskanie ludzkich namiętności. I je wyzyskiwano!

Szybko okazało się, że bracia zza Horynia wcale nie przynieśli oczekiwanej swobody, choć wielu Ukraińców początkowo chętnie współpracowało z władzą radziecką. Ale Ukraińcy nastawieni nacjonalistycznie szybko zorientowali się, że to zupełnie co innego niż oczekiwano. Wielu z nich padło też ofiarami NKWD.

Rozczarowali też Niemcy. Erich Koch — komisarz Rzeszy na Ukrainie stacjonujący między innymi w Równem na Wołyniu — w sierpniu 1942 roku powiedział jasno:

— „Stanowisko Niemców na Ukrainie winno wynikać z tego, że mamy do czynienia z narodem pod każdym względem niepełnowartościowym... Żadnych społecznych kontaktów z Ukraińcami... Ten naród winien być kierowany żelazną ręką w taki sposób, by pomógł nam wygrać wojnę”.

W rezultacie UPA prowadziła działania przeciw wszystkim, taką wojnę w wojnie, walczyła z Niemcami — może najmniej skutecznie, z radziecką partyzantką, z polskimi wieśniakami, których po prostu wyrzynano. Ze takie stanowisko było akurat na ręce wszystkim? Ze łatwo było tak nastawionych Ukraińców inspiro-

wać? Ze był to odwet za lata krzywd zadawanych przez Polaków? To wszystko prawda. Ale faktów to nie zmienia!

Już w 1911 roku Leon Wasilewski napisał w książce „Ukraina i sprawa ukraińska”:

„Jedynym wyjściem z dotychczasowej, zdawałoby się beznadziejnej sytuacji, jest ocenie wzajemnych stosunków Polaków i Ukraińców — po obydwu stronach kordonu — ze stanowiska dążeń niepodległościowych obydwóch krajów. Tylko na tle tych dążeń możliwy jest modus vivendi i — w dalszej przyszłości — sojusz między Polakami a Ukraińcami. Tylko w świetle ideału niepodległości Polski i Ukrainy demokracja obydwu narodów znajdzie drogę postępowania, gwarantującego zadośćuczynienia realnym interesom każdego z tych krajów”.

Właśnie ta „dalsza przyszłość” jest naszą teraźniejszością.

Hasło rzucone przez Adama Michnika: „Nie ma wolnej Polski bez wolnej Ukrainy”, choć nie jest zbyt oryginalne, bo już coś podobnego ogłoszono swego czasu, to przecież jest nad wyraz prawdziwe. Pokazuje to dobitnie historia stosunków polsko-ukraińskich. Oba narody przemieszczały się i żyły obok siebie na jednej ziemi na Wołyniu, Podolu i w Galicji. Oba narody w całej swej przeszłości nie potrafiły znaleźć takiego sposobu, aby móc w spokoju nadal żyć obok siebie. Nie wykształciły w swoich społeczeństwach tak głębokiego przekonania, że są wzajemnie od siebie zależne i jeśli nie znajdują kompromisu, to ich zwaśnienie tylko dobrze służy innym.

Dziś w znacznie mniejszej liczbie Polacy żyją wśród Ukraińców a Ukraińcy wśród Polaków. I jeśli dalsze nasze współżycie ma być pokojowe i braterskie, a takie być powinno, to trzeba spełnić dwa warunki. Po pierwsze — powiedzieć sobie wzajemnie do końca, do bolesnego końca prawdę o przeszłości, jaka by ona nie była. Bez takiego wykrzywienia sobie prawdy nie ułożą się dobrze nasze wzajemne stosunki na przyszłość. I po drugie — trzeba zatroszczyć się, aby Ukraińcy w Polsce poczuli się pełnoprawnymi obywatelami, aby nie byli obywatelami drugiej kategorii, a wtedy można się będzie spodziewać, że i na Ukrainie Polacy też będą równoprawnie traktowani.

Trzeba wreszcie też zrozumieć, że jak by się nie ułożyły wewnętrzne losy ZSRR, to my mamy i mieć będziemy za sąsiadów Białorusinów, Litwinów i Ukraińców. I nie zapominać o tym!

DALSZY CIĄG ZE STR. 9

Badam dokumenty, przesłuchuję taśmy, jeżdżę do Szynkielewa i Pabianic, sporządzam notatki, namoszę też wypisy ze słownika:

„Praworzędność — przestrzeganie, poszanowanie prawa w życiu publicznym. Praworzędność obywatelska, socjalistyczna.”

Szukam też — jak zwykle — jakiejś syntezy. Skoro w tej sprawie „praworzędność socjalistyczna” oznacza równych i równiejszych — wobec prawa, to „praworzędność obywatelska” równoznaczna by pewnie była z „gazurką” — zamiast prawa.

Tak było.

Tak było?

— Wierzyłem w prawo i w to, że jeszcze nie wszyscy utracili sumienie — powiada hodowca świni spod Pabianic, który nie po gazurkę sięgnął, lecz po „Prawo karne” Swidy, po „Kryminalistykę” Holysty... Musiał, bo z początku szamotał się zupełnie samotnie. Nawet cała palestra zdawała się być z doktorem przeciw niemu. Kilkunastu łódzkich adwokatów odmówiło J. Nowickiemu prowadzenia tej sprawy. Dał się w końcu uprosić jeden mec. Pełc, wkrótce zastąpiła go jednak mec. Czubińska, ale i ona zaniechała w pewnym momencie prowadzenia tej sprawy.

— Był już więc akt oskarżenia — odpowiada dalej — ale oni ani myśleli dopuścić do sprawy. Oni już wtedy wiedzieli, o czym ja nie miałem pojęcia, że w połowie roku będzie amnestia. Sprawę więc należało tak ciągnąć, żeby ją przeciągnąć do amnestii.

I udało się przeciągnąć.

Akta z Pabianic powędrowały do Łodzi, gdzie leżały miesiąc, drugi — znów w Pabianicach, kolejne dwa w Warszawie, skąd przesłano je do Łasku, gdzie doktora M. nikt nie chciał sądzić, bo i tu — podobno jako biegłego — znali wszyscy. Łask musiał przesłać akta do Kalisza, przez „pomyłkę” skierował je do Sieradza, a gdy dotarły w końcu do Kalisza, było już po amnestii. Sędzia Miller pospieszył — 8 sierpnia 1986 roku — umorzył sprawę, nie wprowadzając jej w ogóle na wokandy.

— Ja czekam, jeżdżę, wydzwaniam, monitoruję — opowieści ciąg dalszy. — A tu pole, świni... Zejść musiałem w ciągu tych pięciu lat ze 150 do 40 sztuk. Straty łączne trudno wprost oszacować, a koszty sądowe, inne wydatki... I tu nagle, jak grom z jasnego nieba: amnestia. Zaczynam wszystko od początku. Interwencje, skargi, prośby, błagania, a kiedy sprawa trafia wreszcie przed sąd, jestem na pierwszej rozprawie sam. Sam wobec tego obłędu: milicja, prokuratura, sąd. Mec. Czubińska na rozprawę nie dojechała, nie zawiadomiono jej, a potem sąd mylnie ją poinformował, że to ja zrezygnowałem z jej usług... Zszarpane nerwy, do tego moja częściowa głuchota, której nabawiłem się jako trębacz wojskowej orkiestry... I kpiny sędziego Millera... Popłakałem się podobno na sali rozpraw. Tak przynajmniej napisał jeden dziennikarz.

J. Nowicki w końcu wywołał zainteresowanie prasy. O jego sprawie pisał Marek Kwiatkowski w „Tygodniku Demokratycznym”, Barbara Olszewska w „Kontrastach”, Jadwiga Dziwokowa w „Życiu Pabianic”, Wiesława Łuka w „Prawie i Życiu”, ostatnio zaś krótki program dla łódzkiej telewizji zrobiła M. Ziętkiewicz.

Najbardziej odczuwalna była jednak pomoc Kościoła i opozycji, o czym — rzecz jasna — dziennikarze nie wspominali. Ojciec Stefan Miecznikowski czynił wszystko, by zapewnić Nowickim opiekę prawną, co — jak się okazało — nie było w Łodzi możliwe, bo nawet związani z opozycją adwokaci stronili od tej sprawy. Odwiedzać ich zaczął inż. Zbigniew Romaszewski, potem — mec. Piotr Andrzejewski, który podjął się prowadzenia sprawy i prowadził ją do końca, od czerwca zeszłego roku już jako senator.

A sprawa ciągnęła się... Sad Rejonowy w Kaliszu wydał w końcu wyrok skazujący dr M. na 3 lata pozbawienia wolności z zawieszeniem na 4 lata, 150 tysięcy zł grzywny i publikację orzeczenia w „Dzienniku Łódz-

kim”. Sąd Wojewódzki utrzymał wyrok, lecz minister sprawiedliwości wniósł rewizję nadzwyczajną na niekorzyść oskarżonego. Sąd Najwyższy wyrokiem z 27 lipca 1988 roku uchylił sprawę do ponownego rozpatrzenia, w wyniku czego podniesiony został wymiar kary z 3 do 5 lat pozbawienia wolności, ale ciągle w zawieszeniu.

Sprawa się ciągnęła. A to doktor M. nie stawił się na rozprawę, przedkładając zaświadczenia o złym stanie zdrowia, a to sąd przychylił się do wniosku obrońcy, by przerwać rozprawę i skierować akta do Instytutu Medycyny Sądowej w Krakowie, który potrzebował ponoć na wykonanie ekspertyzy... całego roku. Sąd — dla odmiany — nie przyjmował w ogóle do wiadomości protestów mec. Andrzejewskiego przeciw skazaniu doktora M. z art. 145 par. 2 KK, a uniewinnieniu go z art. 164 par. 1 KK, co uczynił Sąd Rejonowy w Kaliszu „wychodzący z założenia, że znamiona tego czynu nie stanowią odrębnego przestępstwa, lecz są pochloneciem bytem przestępstwa z art. 145 par. 2 KK.”

I taki stan utrzymał się do końca, aż do

świata, poza jednym na skrzyżowaniu. Wszystko przecież tam w procesie było, a proces się ciągnął długo, dlatego, że ten pan jest... no... zwiechrowany psychicznie, prawda, powiedzmy, był kiedyś rejestrowany, mógł (musiał? — zapis niewyraźny, przyp. J.I.) się leczyć, a pała do mnie jakąś urojoną nieważnością. Przecież mógł przyjść, mogliśmy to spokojnie omówić... No i toczyły się procesy, gdzie ja byłem właściwie ścigany. Ścigany byłem przez pięć lat, procesami, odroczeniami do sądów najwyższych. Różne się robiło kombinacje, słuchty. Atakowała się mnie najpierw jako rzekomo nomenklaturę (w 1985 roku? — przyp. J.I.) czy coś innego, ja byłem bezpartyjny... no... pomagałem „Solidarności”, potem usiłowało się nakręcić na mnie „Solidarność”. W ogóle miało to charakter nagonki na moją osobę. Przecież ja już wszystko powiedziałem, co trzeba było na procesie, nie raz, proszę pani, pięć lat mnie męczono... Widzę (? — niewyraźny zapis, przyp. J.I.), że do końca nie będzie tego. Dziecko wyszło w zdrowiu, bez kalectwa, bez niczego, na szczęście, chwała Bogu...

## Ile jest ludzkiej krzywdy,

ostatniej i ostatecznej rozprawy przed Sądem Najwyższym, jaką odbyła się w innej już rzeczywistości politycznej.

— Wie pan, przez pięć lat nie było prawa — komentuje J. Nowicki. — Komuna została obalona, zdawało mi się więc, że prawo w końcu zatrumfuje. I przeżyłem szok na tej ostatniej rozprawie... Po tym koszmarze, który przeszedłem? Wszystkie czynniki w państwie trzeba było uruchomić, żeby ten człowiek zasiał na ławie oskarżonych. I co z tego?... Ten sąd, niby już nasz, a nie komuny, też wziął, że wypadek i ucieczka, to jedno, a przecież od pewnego momentu „niemyślne” było już „umyślne”. I sąd nie wziął tego pod uwagę, znów ze mnie zakpił, ze mnie, z prawa... Słynny warszawski adwokat, mec. Wasilewski, obrońca oskarżonego, krzychał na mnie, a sąd mu na to pozwolił, krzychał na mnie: „Tam siedzi prawdziwy sprawca! Mój klient jest już siwy, bo ten oto człowiek go szkaluje, przesładuje...”

I przerywa, patrząc na mnie, składa dłoń na stole, ciężko. I wzdycha:

— Sąd na to pozwolił. A ja już myślałem, że będzie prawo, będzie sprawiedliwość.

• • •

Audiat et altera pars.

Wiemy, co zeznał doktor. Rozmawiał z nim nie muszę, znam wiele jego publicznych enuncjacji, ale i tu — nie wprost — udzielił mi głosu.

„Wdepnąłem w żmię, nie w człowieka. Każdemu może zdarzyć się wypadek, ale żeby zaraz robić taką nagonkę?” — powiedział B. Olszewskiej dla „Kontrastów”.

A oto jego wypowiedź dla telewizji. Przepisałem ją ze ścieżki dźwiękowej programu M. Ziętkiewicz:

— Był proces, odbywał się, proszę pani. Wypadku ja nie widziałem, prawda, nie miałem w ogóle świadomości, że był wypadek. Potem dopiero to wszystko wyszło. Że to ja, potrącenie, proszę pani, więc ja, czy ja mam wyrzuty (sumienia)? Każdy miałby, prawda... Ja jechałem z pracy wieczorem, nie wiem, jak to było, że on skądś wyskoczył z prawej strony, odrzucony został... Nie widziałem go, podrzucono mi paczkę. Zatrzymano mnie w ogóle, powiedziałbym, prowokacyjnie. I tak to uważałem, że sprawa była prowokacyjna, z początku, no... Dlatego, że rzucono mi paczkę za skrzyżowaniem, jak miałem zielone światło. Zszokowany! Spadła mi oibrzynia paczka na maskę, przed szybą, więc zatrzymałem samochód, wysiadłem naokoło szukałem, były ciemności, była awaria wtedy, na trasie nie działały

Red. M. Ziętkiewicz: — Nie, panie doktorze, jest pan źle poinformowany.

Doktor M.: — Nie, jestem dobrze poinformowany, to pan Nowicki opowiada różne rzeczy, które nie mają racji bytu. Dziecko biega, gra w piłkę, jest zdrowe. On przecież z początku opowiadał, że dziecko zabite zostało, prawie jakbym ja przycałił się na niego i chciał przejechać. Takie różne urojone sprawy, że nie chcę do tego powracać. Znana sprawa, nowa władza przyszła, on chodzi do nowych... On wszystkich przeszedł, proszę pani. Ja jako człowiek inteligentny nawet 10 procent tych instytucji bym nie odszukał w Polsce. I przy pomocy swoich stosunków... Miał oibrzynie stosunki na Limanowskiego, w milicji, proszę pani, był powiązany bardzo mocno z tymi strukturami, z wojskiem, z różnymi szarymi emincjami... Nie chcę do tego wracać... Dlatego, proszę pani, mnie po prostu zaszczytu, zaszczytu, prawda, miało mnie wykończyć. Mam nadzieję, że przy nowej władzy wreszcie ta sprawa się skończy.”

• • •

A zatem koniec? Sprawa wyczerpała swój formalny bieg?

Rozmawiam z senatorem Piotrem Andrzejewskim. Podkreśla, że nie obchodzi go sprawca, lecz interes prawny, który doznał poważnego szwanku. Stary mechanizm nie przestał działać, kręcił się siłą inercji. Nowi ludzie nie zdolali go jeszcze zatrzymać. Mało ich, nie wszędzie, a jeśli już nawet są, to nierzadko — nie całkiem nowi.

Rozprawa rewizyjna przed Sądem Najwyższym nie usatysfakcjonowała go jako prawnika i jako człowieka, nie dał jednak za wygraną, podjął kroki, które mogłyby zmienić ten niefortunny dla prawa wynik. Podjął je — oczywiście — na gruncie prawnym jako pełnomocnik pokrzywdzonego Krzysztofa Nowickiego.

Dla uniknięcia błędów przytoczę in extenso fragmenty dwóch wniosków, wystosowanych przez mec. Piotra Andrzejewskiego, a oddających istotę prawnego problemu:

„...wnoszę o wszczęcie postępowania karnego przeciwko Andrzejowi M. o to że jako lekarz i biegły sądowy, mając obowiązek troszczenia się z mocy ustawy o zawodzie lekarskim o osoby znajdujące się w położeniu grożącym bezpośrednio niebezpieczeństwem utraty życia podjął świadome działanie dla udaremnienia pomocy ofierze wypadku drogowego (...) przez to, że bez badania lekarskiego przeniósł ciało nieprzytomnego dziecka w uboczne miejsce, co mogło obniżić

pomoc i narazić dziecko na śmierć, a następnie po pozostawieniu Krzysztofa Nowickiego w wybranym przez siebie miejscu w położeniu grożącym bezpośrednim niebezpieczeństwem utraty życia — oddalił się z miejsca wypadku, nie informując nikogo o potrzebującym pomocy, to jest o czyn przewidziany w art. 163 par. 1 KK."

„...wnoszę o wydanie polecenia wszczęcia postępowania przygotowawczego Prokuraturze Rejonowej Łódź-Polesie w przedmiocie narażenia pokrzywdzonego Krzysztofa Nowickiego na bezpośrednie niebezpieczeństwo utraty życia lub uszkodzenie ciała poprzez przeciągnięcie nieprzytomnego po wypadku chłopca z jezdni w ciemne miejsce na uboczu, aby zatrzeć ślady przestępstwa wypadku drogowego spowodowanego przez Andrzeja M. (...) to jest o czyn przewidziany w art. 160 par. 2 KK."

Wnioski te nie odniosły żadnego skutku, co zdumiewa nie tylko mnie, ale i samego wnioskodawcę, prawnika i senatora. Zdumiewa nas również, że nawet teraz — po ostatniej rozprawie przed Sądem Najwyższym — Prokuratura Wojewódzka w Łodzi przekre-

— Ech, bardzo w to wątpię — odpowiada sam. — Idę do nowego prokuratora wojewódzkiego, pana Sindlewskiego... I co? On odsyła mnie do swojego zastępcy, z którym ostatnich pięć lat darłem koty... Ot, panowie w dalszym ciągu na poprzednich stanowiskach. I kpią w żywe oczy z takich jak ja!

Czy J. Nowicki jest pniaczem? I taki zarzut słyszałem. Wiem, że kiedy przed kilkunastoma laty żona jego napadnięta została i zgwałcona, o czym wspominam z ich upoważnienia, oboje odstąpili od prywatnego śczerzenia przestępcy, chociaż pani Nowicka w wyniku napaści poroniła. W siódmym miesiącu. Mieli już dwie córki, to był syn. Potem długa choroba, a w kilka lat później urodził się Krzysztof. Syn. Pierwszy i ostatni. Wyszedł z wypadku z krótszą nogą, skrzywionym kręgosłupem, torbielą na nerce — tego jego ojciec darować już nie mógł. Tamten, gwałciciel, zbyt łagodnie osądzony, uciekł z zakładu poprawczego i znalazł następną ofiarę. Dziś ma dom, rodzinę, żyje na wolności, a Nowiccy omijają go z daleka, było, minęło, tamten był przecież zupełny pro-

z pięć razy, bardzo się w sprawę zaangażował. Przyjeżdżał z Gdańska, krewny moich znajomych z Pabianic. Postać dość tajemnicza, bardzo interesująca. Człowiek, który zrobił dużą karierę w wojsku, jakieś służby specjalne, wywiad, kontrwywiad, z jakimś misjami nawet w Wietnamie bywał... O szczegóły nie dopytywałem. Ostatni raz jak tu był, mówił, że Władek — tak mówił na generała Oliwę — chce jeszcze więcej danych. Wziął następne dokumenty i nigdy się już nie pojawił, chociaż obiecał, że wróci. Aż tu nagle rodzina się dowiaduje, że pułkownik nie żyje, że został zamordowany, o krok od ich domu, pod barem „Karolewski”. Rodzinie oddali zwłoki w foliowym worku, w zupełnym rozkładzie, w długi, długi czas po zgonie... Myślę, że chcieli go tylko postraszyć, jak tego dziennikarza, ale za mocną mu dotoczyli. Może zbyt wielki opór stawiał, ostatecznie człowiek szkolony. Tak czy inaczej, zabili!

Dochodzenie w tej sprawie podjął swego czasu nadkomisarz — wówczas kapitan — Henryk Jeż. Pracuje i teraz w Komendzie Rejonowej w Pabianicach. Sprawy dokładnie nie pamięta, podpowiadam mu więc szczegóły. Tak, przypomina sobie w końcu, że nawet zbierał zeznania od rodziny denata. Ledwie jednak dochodzenie napoczął, przekazano je do RUSW Łódź-Sródmieście, bo zgon podobno nastąpił na terenie Łodzi. Czym się to skończyło? Nie pamięta, przebywał w tamtym czasie na zwolnieniu lekarskim.

W Komendzie Rejonowej Łódź-Sródmieście jest ślad: sprawa zarejestrowana pod numerem KR 7728/88, przejęta w czerwcu 1988 roku z RUSW w Pabianicach, a prowadzona do kwietnia 1989 roku.

Zwróćmy uwagę na te daty, bo w żaden sposób nie będą się one zgadzały z tym, co za chwilę.

Trzeba teraz odszukać właściwą teczkę. Są w niej dwa telefonogramy. Tyle podobno pozostało w komendzie, innych dokumentów szukać mogą w archiwum prokuratury.

Pierwszy telefonogram, podpisany przez szefa RUSW w Pabianicach, mjr. Grzymalskiego — datowany 23 sierpnia 1988 r. — zwraca się o wyjaśnienie okoliczności śmierci Józefa Wilka (ur. w 1933 r.) z Gdańska, przebywającego czasowo w Łodzi, gdzie — jak ustalono podczas wstępnego dochodzenia w Pabianicach — został pobity, w wyniku czego zmarł 2 czerwca 1986 roku.

Drugi telefonogram, podpisany przez naczelnika Wydziału Kryminalnego DUSW Łódź-Sródmieście, kpt. Stanieckiego — datowany 26 sierpnia 1988 r. — wyjaśnia, że Józef Wilk w dniu 2 czerwca 1986 r. zabrany został z pielni piwa „Pod Kuflem” o godz. 18.45 przez pogotowie ratunkowe, które stwierdziwszy uraz czaszki, zawiozło go z podejrzeniem krwiaka śródczaszkowego do Instytutu Medycyny Pracy, skąd trafił na Oddział Neurochirurgii Szpitala im. Kopernika. Sekcja wykazała złamania kości pokrywy i podstawy czaszki z lewej strony oraz złuczenie międzymózgowia. Z przeprowadzonego dochodzenia wynikało podobno, że denat upił się w przygodnym towarzystwie, po czym usnął przy stole, a następnie spadł ze stołka, nabawiając się śmiertelnych urazów. Prokuratura Rejonowa Łódź-Sródmieście umorzyła 9 lipca 1986 roku dochodzenie w tej sprawie (sygn. akt DS 1140), ze względu na „brak dowodów na przyjęcie tezy, że zgon był następstwem działania ze strony osób trzecich”.

I tyle. A więc fałszywy trop? Domniemania J. Nowickiego czczym urojeniem? Może Józef Wilk był zwykłym lumpem, drobnym pijackim, naciągaczem, któremu zawierzył łatwowierny rolnik z Szynkielewa? Jeśli pułkownik (może „pułkownik”) naprawdę spadł ze stołka w łódzkiej pielni „Pod Kuflem”, to co się stało pod barem „Karolewski” w Pabianicach? Podobno wiele do powiedzenia w tej sprawie mają krewni zmarłego z Pabianic, tyle że — również podobno — nikt ich nie chciał w porę wysłuchać.

Czy powinienem iść dalej tym tropem? Nawet po to tylko, by przekonać się, że nie

DOKOŃCZENIE NA STR. 14

## ile wyplakanych lez...

ślida ostatnią szansę na zrehabilitowanie się — że tak to nazwiemy — wymiaru sprawiedliwości w tej ponurej, a zarazem kompromitującej sprawie. Przekreśliła tę szansę, oddalając — bez rozpatrzenia! — ostatni wniosek mec. Andrzejewskiego.

Zacytujmy jeszcze jedno pismo. „Warszawa, dnia 25 maja 1990 r. Piotr Andrzejewski — senator Rzeczypospolitej Polskiej do Prokuratury Wojewódzkiej w Łodzi. Wniosek o reasumację stanowiska w przedmiocie postępowania przygotowawczego.

Zwracam się do Pana Prokuratora o przeanalizowanie zasadności argumentacji, która legła u podstaw odmowy wszczęcia postępowania przygotowawczego o odrębny czyn przeciwko Andrzejowi M.

Istnieją poważne wątpliwości co do zasadności stanowiska uznającego, że zakres osądzenia sprawy objął również odrębny czyn kwalifikowany z art. 163 i art. 160 KK.

(...) Proszę o wnikiwe przeanalizowanie ponowne sprawy i udzielenie uzasadnionej odpowiedzi na przytoczoną we wniosku argumentację w razie jej zanegowania lub o spowodowanie wszczęcia postępowania w razie jej podzielenia.”

Niestety, prokurator wojewódzki w Łodzi nie podzielił argumentacji autora wniosku.

I tak oto kłamka zapadła. Droga prawna uległa wyczerpaniu...

Jadę znów do Szynkielewa i boję się tego momentu, w którym będę musiał powiedzieć Józefowi Nowickiemu, że łódzka prokuratura postawiła kropkę nad L, mec. Andrzejewski nie jest więc w stanie nic więcej zrobić.

Mój rozmówca jest bardzo podejrzliwy. Nikomu nie ufa, również i mnie. Widzę również, że nie spocznie, nie odpuszczy, chociaż trudno rozsądzić, ile w jego postawie zawziętości, a ile desperacji.

Będzie skarzył — powiada — doktora o zniesławienie. Za to, że przed sądem i w telewizji zarzucał mu chorobę psychiczną, a zwłaszcza — co szczególnie go dotknęło — współpracę z milicją.

J. Nowicki zastanawia się, czy nie należy powrócić do jego wniosku o wszczęcie dochodzenia z art. 246 par. 1 KK i art. 252 par. 1 KK przeciwko funkcjonariuszom MO winnym zaniedbań i niedopełnienia obowiązków, a także zacieraania śladów we wstępnej fazie śledztwa. Prokuratura Wojewódzka w Łodzi zignorowała wniosek z 19 września 1986 roku, może więc teraz — w innej sytuacji politycznej — ktoś z urzędu podjąłby taką inicjatywę.

stak, zboczenie... Pniacz więc z Nowickiego?

Wynotowuję znów ze słownika:

„Koteria — grupa osób związana wspólnymi, ciasno pojmowanymi interesami; klika.”

I wypisuję też: „Mafia — przest. grupa osób dbająca tylko o własny interes i nie przebiegająca w środkach w realizowaniu swych zamierzeń.”

Wypisuję i tę drugą definicję, bo oprócz wątku głównego są poboczne, które zdają się być zgola fantastyczne, nie mogą ich jednak pominąć, nie pozwala na to reporterska rzetelność.

Wiosną 1987 roku Marek Kwiatowski opublikował w „Tygodniku Demokratycznym” relację o pabianickim wypadku pt. „Kto się boi małej dziewczynki”. W rok później został dotkliwie pobity w Pabianicach przez dwóch milicjantów.

— Było to ostrzeżenie miejscowej mafii, żeby nie wtrącał się do takich spraw jak moja — stwierdza J. Nowicki. — Pobili go tak bardzo, że musieli zawieźć do szpitala. W szpitalu coś powiedział nie po ich myśli, to zabrali go z powrotem, do sukki wrzucili, na komendę powieźli. Na szczęście, ktoś ze szpitala powiadomił matkę dziennikarza, ta go uratowała. Odwiedziłem go następnego dnia w szpitalu, wyglądał strasznie, zmasakrowana twarz. I tylko szepotał: „Panie Nowicki, niech się pan trzyma od tego z daleka!”

Temat na odrębny reportaż. Odnajduję M. Kwiatkowskiego, który właśnie (wrzesień 1990) przebywa w Pabianicach, gdzie procesuje się z tymi, którzy go pobili, dwoma graczącymi dziś w pabianickiej policji.

— Czy oni wiedzieli, kogo biją? — pytam.

— Na pewno, zwłaszcza że na początku się im wylegitymowałem.

— Czy pobicie to wiąże pan ze swoją publikacją o sprawie Nowickich?

— Nie, raczej nie!

— Wyklucza pan zatem jakikolwiek związek?

— Nie, wykluczyć też nie mogę, a bo to wiedział kto kiedy, jakie SB-ecja miała względem niego zamiary?

Czy proces przeciwko sprawcom pobicia dziennikarza w Pabianicach rzuci jakiegoś światła na domniemania B. Nowickiego? A domniemaniom tym nie koniec, bo oto trop następny:

— Tu, gdzie pan teraz siedzi, na tym samym krześle siadywał senator Andrzejewski, zasiadał też pułkownik Józef Wilk. Był u nas

## Kto jest kim w województwie łódzkim

**W** gronie zapaleńców skupionych przy „Odgłosach” zrodziła się idea wydawnictwa, które zaprezentuje szeroką i reprezentatywną panoramę osobistości związanych z Łodzią i województwem łódzkim. Taka książka nigdy jeszcze nie pojawiła się na rynku, choć ukazywały się biograficzne informatory cząstkowe poświęcone niektórym środowiskom, jak choćby stosunkowo niedawno „Współczesna Łódź literacka — słownik autorów” opracowany przez Tadeusza Błażejewskiego.

W epoce, z którą właśnie usiłujemy się rozstać, tak pomyślana książka nie mogłaby się narodzić, gdyż czujne oko cenzora wychwyciłoby natychmiast hasła niepożądane czy wręcz wrogie; ten to a ten jest notowany jako zawodowy opozycjonista, ów osobiście naraził się towarzyszkowi sekretarzowi, nie zasługuje więc na publicity, tamten zaś ma niewłaściwe pochodzenie albo postawę, nie zasługuje więc nawet na skromną wzmiankę. Zdawali sobie z tego sprawę redaktorzy „Encyklopedii m. Łodzi”, którzy zrezygnowali z hasel osobowych — wydawnictwo to rodzi się w bólach i nie wiadomo czy ujrzy światło dzienne, teraz już nie ze względów politycznych, tylko finansowych.

Na Zachodzie sprawa jest o wiele prostsza, działają tam od lat wyspecjalizowane centra biograficzne, które zajmują się gromadzeniem i opracowywaniem danych i to z całego świata. Regularnie też ukazują się obszernie tomy serii „Who is who” poświęcone poszczególnym krajom (uniwersalne), albo też grupom zawodowym. Wydawnictw tych nikt nie sponsoruje poza samymi zainteresowanymi: osobistości wytypowane przez zespoły rzeczoznawców wnoszą przedpłatę na książkę, dzięki czemu można tym książkom zapewnić wysoki poziom edytorski i uczynić je stosunkowo przystępnymi dla szerokich kręgów czytelników. Jest to rodzaj subskrypcji, znany także i u nas (albumy, encyklopedie), choć subskrypcji zamkniętej.

Łódź uchodzi za miasto dotknięte atrofią tradycji, brak jej krakowskiego rozmiłowania w przeszłości czy choćby nowobogackiej dumy warszawskiej. Uważa się dość powszechnie, że warstwa rodzimej inteligencji jest niezbyt zakorzeniona w lokalnej glebie. Rody przemysłowców, które kładły podwaliny pod rozwój Łodzi w jej dzisiejszym kształcie rozproszyła po świecie wojna, a reszty dopełnił komunizm.

Jest w tych opiniach wiele prawdy, choć wymaga ona weryfikacji. Dla nas takim sprawdzianem będzie powodzenie wydawnictwa „Kto jest kim w województwie łódzkim”.

Od pewnego czasu osobistości lokalne wytypowane przez Komitet Redakcyjny otrzymują do wypełnienia ankiety, które staną się naszą bazą danych. Przewidujemy, że rozsyłanie tych ankiet potrwa kilka miesięcy — chcemy pomieścić hasła biograficzne około 3000 mieszkańców województwa łódzkiego pełniących ważne funkcje publiczne, zasłużonych dla kultury, nauki, gospodarki albo cieszących się uznaniem w swoim środowisku zawodowym.

Jest to przedsięwzięcie w Łodzi pionierskie, nie wątpliwym jednak, że spotka się z właściwym odzewem i pozwoli nam zaprezentować zbiorowy portret ludzi związanych z naszym regionem. Być może nie uda nam się uwzględnić wszystkich osobistości, które powinny się znaleźć w tej publikacji, obowiązuje tu bowiem zasada pełnej dobrowolności, wierzymy jednak, że dzisiejsi niezdecydowani trafia do słownika w następnych edycjach. Zaś czytelników „Odgłosów” prosimy o pomoc w typowaniu osób, których hasła powinny się w takiej publikacji znaleźć.

**KONRAD FREJDLICH**  
Prezes Dziennikarskiej Spółdzielni Pracy „Odgłosy”

## Ile jest ludzkiej krzywdy, ile wyplakanych łez...

DOKOŃCZENIE ZE STR. 13

tu ponad insynuacje i urojenia? Mam nadzieję, że nie będę musiał, bo sprawa zgłoszona została do sejmowej Nadzwyczajnej Komisji do Zbadania Działalności MSW, która zleciła — via Ministerstwo Sprawiedliwości — ponowne i wnikliwe jej zbadanie Prokuraturze Wojewódzkiej w Łodzi.

Mam nadzieję, że prokuratura tego zlecenia nie oddała bez rozpatrzenia.

Zaznaczę tu jeszcze — dla uniknięcia nieporozumień — że dużą nieodpowiedzialnością byłoby z mojej strony, gdybym zakładał a priori, że wątek główny naszej opowieści łączy z oboma wątkami pobocznymi coś więcej nad czysty przypadek. Nie zakładam więc tego, niemniej uważam, że obie sprawy same w sobie są na tyle zagadkowe i niepokojące, że wymagają rzetelnego wyjaśnienia aż do usunięcia ostatnich, najdrobniejszych nawet wątpliwości.

\*\*\*

Spaceruję z Józefem Nowickim po jego dorodnym sadzie, omijając leżące w trawie jabłka, których nie ma kto zbierać. Wspominamy jego wyborczą świnię.

— Nie mogłem wam wtedy inaczej pomóc, ale i tutaj, u siebie, robiłem, co się tylko dało. Moc pracy tutaj było. Plakatowałem całą

okolicę. Samochodu własnego nie mam, to jeździliśmy „Mazdą” zięcia. Piękny samochód. Mogli go zabrać, zniszczyć. Wie pan sam, jak to wtedy było... Jeździłem do was po plakaty, bo co i rusz je ktoś zrywał. W dniu wyborów pojechaliśmy znów nad ranem, o czwartej, żeby już nie zdążyli... To były pierwsze moje wybory w Polsce. Ja nigdy przedtem nie byłem, chociaż i po mnie przyjeżdżali... Tyle nadziei, tyle nadziei... I teraz, kiedy wydawało się, że już po wszystkim, ech! Nie tylko w sądach. Tutaj na moim terenie tyle niesnasek się narobiło, podziały się porobiły. A e to wszędzie się dzieje... Byłem w związku, w regionie, a tu mnie taki gość — znam dobrze, partyjniak, ormowiec — pyta, czego tu się szwendam? Pewnie, że z takimi nigdy mi nie będzie po drodze. A i doktor powiada, że on — to „Solidarność...”

Moja teczka, założona dla tej sprawy, spęczniała od kopii, wyciągów, notatek. A i teczek innych przeszło przez moje ręce wiele.

Ile w nich jest kłamstwa i kręactwa, obudy i fałszu, brudu, ohydy. Ile jest też ludzkiej krzywdy, ile nieprzespanych nocy, wyplakanych łez...

**JACEK INDELAK**

**SKLEP  
— DAMA PIK —  
al. Mickiewicza 69  
TEL. 74-34-52**

**P O L E C A**

**TKANINY:**

- \* KREPONOWE
- \* BISTOROWE
- \* BAWELNIANE (SURÓWKA)
- \* PODSZEWKOWE
- \* WELNIANE
- \* POŚCIELOWE
- \* KRESZ-I INNE

**Hurtownia Artykułów  
Tytoniowych  
w Łodzi**

**O F E R U J E**

**PAPIEROSY**

**KRAJOWE**

**I**

**ZAGRANICZNE**

**Łódź, ul. Zarzeczna 17**

**w godz. 8—16.**

**6-MIESIĘCZNY  
KURS**

**PRZEDMATURALNY!**

**Federacja Młodzieży Waleczącej**

**organizuje**

**kurs przedmaturalny obejmujący**

**6 przedmiotów i 3 języki:**

- polski, historię,
  - matematykę, fizykę,
  - biologię, chemię,
  - angielski, rosyjski i niemiecki.
- Zajęcia rozpoczynają się, 1 listopada. Zapisy w klubie „99” ul. Piotrkowska 99, I piętro.  
Ceny konkurencyjne, zniżka 10 proc. dla członków FMW.

**SKŁAD TARCICY  
PHUP „MAXBUD”**

**tel. 14-12-65**

**telex 885551 maxbt**

**Starowa Góra**

**ul. Okienna 8**

boczna od ul. Zagłoby, na granicy Łodzi i Starowej Góry (dojazd ul. Rzgowską autobusami: 70, C, 268 i 268 bis, przystanek za Szpitalem Matki Polki — do składu po przeciwnej stronie ul. Rzgowskiej ok. 500 m)

- \* drewno na krycie dachów (deski, krawędziaki, murlaty itp.)
- \* deski szalunkowe
- \* deski podłogowe i legary
- \* drewno powietrzno-suche do przerobu w stolarniach
- \* załadunek bezpłatnie
- \* dysponujemy własnym transportem

**z a p r a s z a m y**

**od 7 do 17**

**wszystkie soboty od 7 do 13**

## Najbardziej dokuczają brak broni

### Rozmowa z dyrektorem firmy detektywistycznej z Ukrainy — ALEKSANDREM BIERIEZINEM.

**MAREK JUSKIEWICZ:** — Nigdy wcześniej nie słyszałem o prywatnych detektywach w ZSRR, a tu taka niespodzianka. Jak długo pracujecie?

**ALEKSANDER BIERIEZIN:** — Nasze biuro powstało w marcu tego roku. Ale takie firmy nie są w naszym kraju nowością. W 1989 roku, w Leningradzie powstał pierwszy detektywistyczny kooperatyw — „Alex”. Wkrótce biuro o tej nazwie powstało w Moskwie. Niezależnie działała już taka firma na Lotwie.

— Czy te biura pracują samodzielnie?  
— Pracowały. Powstała jednak ADS (Asocjacja Detektywistycznych Służb) CCCP — „ALEX”. Spełnia rolę koordynatora dla firm, które powstają w całym Związku Radzieckim.

— Także na Ukrainie...  
— Tak. Do lata tego roku na Ukrainie mieliśmy około 10 takich firm. Po przyjęciu przez Ukrainę Deklaracji Niepodległości biura ukraińskie powołały ADS Ukrainy. W skład tej organizacji wchodzi 12 biur — m. in. z Kijowa, Odessy, Doniecka. Oczywiście jest też nasze biuro — „ALLAN” z Ługańska (dawniej Woroszyłowgrad). Na zjeździe ADS Ukrainy była także delegacja z Białorusi, ale tam rozwój tych usług dopiero się zaczyna. Znamy dwie firmy już pracujące w republice białoruskiej.

— Z tego, co wiem wasze usługi to przede wszystkim ochrona.

— Nie tylko, chociaż ochrona to podstawa naszej działalności. Dotąd było to wykonywane przez specjalne, do tego celu przeznaczone służby milicji i straż przemysłową. Dodatkowo zakłady zatrudniały portierów i strażników mienia. Ostatnio zakłady odchodzą od tego, ponieważ nasze firmy biorą pełną odpowiedzialność za szkody w przypadku kradzieży. Poza tym nasi ludzie są młodzi, silni — dają nieporównywalnie większą gwarancję ochrony niż dużo tańsi portierzy — emeryci.

— Jakich ludzi zatrudniacie?  
— Pracują różni — sportowcy, milicjanci — każdy, kto jest przydatny, choćby przewodnik ze szkolonymi psami.

— U nas funkcjonariusze muszą mieć zezwolenie na pracę poza służbą.

— U nas pracują nie na stałe, a tylko na zlecenie i w czasie wolnym od służby. Na takie zatrudnienie nie potrzeba zezwolenia. Jest także firma, która zatrudnia tylko czynnych funkcjonariuszy — taki detektywistyczny kooperatyw milicjantów. W wolnym czasie — po służbie — pracują przy ochronie mienia.

— Dużo macie pracy?

— Tak — bardzo dużo. — Popyt na tego typu usługi gwałtownie wzrasta. Odkad dyrekcje zakładów są rozliczane za straty spowodowane brakiem lub niewłaściwą ochroną — choćby zatrudnieniem emerytów — klientów wciąż przybywa.

— Co najbardziej wam dokucza?

— Brak broni palnej a obok tego brak regulacji prawnej w odniesieniu do broni gazowej. Mamy ustawę o broni, ale ona nie mówi o pistoletach gazowych. Stąd uznaniowe odbieranie tej broni przez milicję. To samo dotyczy przywozu z zagranicy — głównie z Polski. Największy problem to przewóz przez granicę.

— A więc służby celne nie są przyjazne. A milicja?

— Na wysokich szczeblach patrzą na nas krzywym okiem ale nie zabraniają działalności. Natomiast milicjanci bardzo często znajdują u nas zatrudnienie. Mówi się też, że wyludząmy pieniądze, tymczasem milicja odsyła zainteresowanych ochroną albo nie ma środków na jej wykonywanie.

— A jaka powinna być u was policja?

— Jestem zwolennikiem policji municypalnej. My powinniśmy decydować ilu policjantów jest nam potrzebnych, ile im płacić i jak wyposażać. Dotąd obowiązują decyzje, że w obwodzie jest np. 20 policjantów. Mogło tak być 10—15 lat temu — kiedy decyzję wydawano, ale miasto się rozrasta i potrzeba ich 100. A decyzja o ilości etatów jest i obowiązuje.

**Rozmawiał:**

**MAREK JUSKIEWICZ**

**S**ierpniowa podwyżka czynszów dotyczyła zwiększonej opłaty za centralne ogrzewanie. Co prawda — nie bardzo rozumiem, na jakiej zasadzie pobiera się ją ode mnie również i za te miesiące, podczas których moje mieszkanie ogrzewa nie elektrociepłownia, ale wiosenno-letnia aura? Ostatecznie jednak nie muszę tego rozumieć; być może zasada logiczna działa tu taka sama, jak w owym starym dowcipie: Czy jest różnica między słoniem i fortepianem? Ano jest, ponieważ fortepian da się zasłonić, natomiast słonia nie można zafortepianić.

Niezależnie wszak, czym się zasłonię, czy odfortepianię — uiszczyć w wyznaczonym terminie muszę, choćby po to, aby nie płacić kary.

No to wybieram się do kasy ADM-u.

Na schodach spotykam sąsiadkę. Mieszka piętro niżej, zajmując identyczne, kropka w

## Słoń i fortepian

kropkę takie samo mieszkanie jak moje. Wymieniamy ukłony oraz uwagi na temat podwyżki za centralne jako wstępu do kolejnych podwyżek czynszu; wreszcie sąsiadka powiada: Niech się pani tylko, Anno-Mario, nie pozwoli w ADM-ie okpić. Cały nasz blok był zimą niedograny. Ja upomniałam się i odliczono mi od komornego za niedogrzenie prawie czternaście tysięcy złotych.

Sympatyczna wiadomość, dzień się zaczyna ponownie — czternaście patyków zostanie mi w kieszeni. Jakbym je znalazła na ulicy. Mogę za nie kupić coś wyjątkowego ekstru. Na przykład aż cały kilogram bananów synowi. Proszę, jaka radość: dzięki niedogrzeniu stać mnie będzie na bananowy luksus, nie objęty podatkiem od wzbogacenia.

Pani urzędniczka nawet oczu nie podnosi, twarzą rzuca lapidarnie: Nie należy się!

Głupiej. I zaczynam swoje przemówienie w kwestii niedogrzenia i należnych mi czternaście tysięcy od początku. Pani urzędniczka decyduje się podnieść na mnie oczy. Przez moment dostrzegam w nich błysk ludzkiego współczucia. I słyszę już łagodniejsze, nie tak warkliwe: Nie należy się, bo ma pani mieszkanie własnościowe.

Głupiej jeszcze bardziej. I choć po raz trzeci rozpocząć orację na wyżej wymieniony temat, lecz błysk współczucia w oku pani urzędniczki dla obywatela-pententa — jak audjencia u dygnitarza — trwał krótko, głos znowu nabrął urzędowego brzmienia: Takie otrzymanymi odgórne zarządzenie. Kwaternowym wypłacamy, własnościowym nie!

— Aha — mówię.

Już tylko tyle. Bo co mam powiedzieć? Że w swoim własnościowym, wykupionym od miasta za niemałe pieniądze mieszkaniu marziałam zupełnie tak samo jak sąsiadka z pierwszego piętra w swoim mieszkaniu kwaternowym? Lub że płacę i ja, i ona, cały czas jednakową stawkę od metra kwadratowego powierzchni mieszkania za to „centralne”, które zimą prawie nie działało? Z zarządzeniem, w dodatku odgórnym dyskusji nie ma. Wykonać! Odmaszerować! Bo zarządzenie wymaga od obywatela szacunku, jest autorytatywne, przecież wymyślił je ktoś kompetentny, pewno musiał długo, długo nad nim myśleć, a może nawet cały sztab mądrych głów długo, długo myślał w głębokim skupieniu, i jeszcze dłużej obradował nad problemem, jakby tu fortepian zasłonić, żeby słonia nie zafortepianić.

Przed stu laty, słynna Lucyna Cwerciakiewiczowa układała w swoich równie słynnych i rozlicznych poradnikach wykwiłtne zestawy dań na stoły dla szlachetnie urodzonych.

Warianty były dwa — pierwszy dla tych bardzo szlachetnie urodzonych; drugi — dla mniej szlachetnie urodzonych. Bardziej szlachetni otrzymywali menu obiadowe składające się z dań dwunastu; mniej szlachetni zaledwie z sześciu, a nawet tylko czterech. Podstawę wszędzie stanowiły dania mięsne, nie w mniejszej ilości jak trzy. I tak, na przykład pani Cwerciakiewiczowa proponowała: „Befszyk z kartoflami, kaczkę duszoną w winie, zając pieczony, szpikowany słoniną. Obiad bez pieczonego — drożdzy państw — był nie do pomyslenia, nie uchodził, i jeśli kogoś nie było stać na pieczonego zająca, pani Cwerciakiewiczowa doradzała pieczoną kurę. Była więc to osoba nader praktyczna i stąd zajmowała się również pouczaniem szlachetnie urodzonych, jak i czym powinni karmić swoją służbę.

Z tą służbą w owych czasach nie było jednak tak prosto, to znaczy, że służbę również dzieliło się na szlachetniejszą i posłedniejszą. W związku z powyższym obowiązywały różne zestawy menu dla służby — tej lepszej i tej gorszej. Pani Lucyna tę lepszą doradzała karmić podając jej mięso pięć razy w tygodniu. Tej gorszej wystarczało dawać trzy razy, z tym, że trzeci, mięsny raz pani Lucyna proponowała — w ramach oszczędności zastępować „skórkami” (od słoniny, która zostawała podczas szpikowania pieczeni z zającem). I oto mamy dla przykładowo następujący zestaw obiadowy dla służby:

Pierwszy stół: Barszcz z mięsem i groch.

Drugi stół: Barszcz ze skórkami i groch.

Różnica hierarchii pomiędzy pierwszym a drugim stołem służby — jak widać — polegała tu wyłącznie na owych „skórkach”, bo dalej wszystkie jednakowo demokratycznie: i barszcz, i groch.

A dziś — przynajmniej jeśli o czynsze chodzi, to dla tych gorszych nawet i tej „skórki” nie.

Mój syn uczeń klasy szóstej, ma w tym roku nową nauczycielkę zetpetów. (Zetpet to skrót od zajęć techniczno-praktycznych). Po pierwszej lekcji wrócił do domu z ultimatum: Mama, daj mi dziewięć paoli na pomoc naukową. Pani kazała nam kupić model samolotu do klejenia. Kto nie przyniesie, ten dostanie jedynę!

Dałam mu tylko klej, uznając, że musiał polecenie przekreślić, choć przysięgał na wszystkie świętości, że nie przekreśli ani słowa. Zwymyślałam go od naciągaczy, kłamców i jeszcze gorzej. Masz mnie za idiotkę, krzychałam, teraz ci dam na model samolotu, a jutro zażadasz ode mnie na techniczne klocki Lego pod pozorem, że nowa pani kazała wam przynieść je jako pomoc naukową, z której sobie zbudujecie zdalnie kierowaną samocność!

Syn obraził się, nie odzywał się aż do kolejnej lekcji zetpetu. O!, powiedział, pokazując mi efektowną jedynkę w dzienniczku, masz dowód, że nie naciagałem.

Więc teraz właśnie, prosto z ADM-u muszę lecieć do miasta, żeby synowi kupić na najbliższy zetpet następujące pomoce naukowe: w sklepie artystycznym zestaw dłutek do rzeźbienia w drzewie. W sklepie z rzeczami metalowymi pilnik do drzewa oraz papier ścierny. Następnie muszę poszukać jakiejś stolarni, gdzie z odpadów (tak doradziła nowa pani) otrzymam kłosek drewna, w którym mój syn będzie rzeźbił na najbliższych zajęciach. Bo jak nie — to oczywiście w dzienniczku pojawi się kolejna jedynka. Pani zapowiedziała, że będzie wymagała od uczniów konsekwentnego wypełniania poleceń. A z jedynkami zostaje się na drugi rok.

No to leć. Jeżeli nie dostanę klocka, po prostu odpiluję nogę od szafy.

Bo żarty się skończyły: w tym wypadku słoń nie pozwoli się zafortepianić.

**ANNA-MARIA**

## Zaczął od udawania... Argentyńczyka

**3** września zmarł w Warszawie nestor polskich piosenkarzy, legenda polskiej estrady Mieczysław Fogg. Przeżył prawie 90 lat. Wraz z Jego odejściem przeminęła cała epoka. Pozostały wielkie przeboje, które zawsze będą słuchane: „Ramona”, „Wale Francois”, „Ta ostatnia niedziela”, „Już nigdy”, „Jesienne róże”.

W 1971 roku Mieczysław Fogg opublikował swoje wspomnienia w książce „Od palanta do belkanta”. Oto ich fragmenty:

### Będą z pana ludzie!

Przechodząc pewnego dnia koło kościoła św. Anny na Krakowskim Przedmieściu, usłyszałem głośnie wprawki chóru. Przystanąłem i przez chwilę nastuchiwałem. Nawet nie wiem, kiedy przekroczyłem próg kościoła i znalazłem się przy krętych schodkach prowadzących na antresolę. Dostrzegł mnie tam organista, wysoki, szpakowaty mężczyzna. Gdy mnie zagadnął, powiedziałem po krótkim wahaniu, że moją pasją jest śpiew i że chciałbym...

Organista przerywając w pół zdania kazał mi przyjść nazajutrz, aby mnie przesłuchać. Egzamin wypadł pomyślnie:

— Ma pan ładny głos — orzekł — może pan u nas śpiewać.

Wobec ówczesnego niedoboru szkół muzycznych, rozpoczęcie edukacji w chórze kościelnym mogło być pierwszym krokiem na drodze do laury śpiewacza. (...) Początkowo śpiewałem na pół głosu. Po dwóch miesiącach nabrałem pewności siebie i... poszedłem na całego. Koledzy byli zaskoczeni siłą mego głosu. W chórze śpiewało się tylko w niedzielę, natomiast dwa lub trzy razy w tygodniu odbywały się próby w domu organisty. Pewnego dnia na próbę przyszedł — co stwierdziłem ze zdziwieniem — dwaj artyści operetki. Rozpoznałem w nich tenora Stanisława Stasiaka i Ludwika Kierskiego, znanego dziś pod nazwiskiem — Sempoliński. Organista dorabiał jako... sufler w operetce i miał dobre kontakty z solistami, których udawało mu się pozyskiwać na świąteczne nabożeństwa.

Zbliżało się właśnie Boże Narodzenie i pan Szych prowadził pospiesznie próby z chórem i obydwoma solistami. Na pierwszej próbie artyści z operetki śpiewali refren koledy: „Bracia, patrzcie jeno...”, a chór odpowiadał: „Jak niebo goręje”. Byłem tego dnia świetnie dysponowany, no i śpiewałem — jak zawsze — z sercem.

Po próbie podszedł do naszej grupy Ludwik Sempoliński i zapytał:

— Który z tych młodych ludzi ma taki dziwny głos?

Pokazano na mnie. Odciągnął mnie na bok i powiedział:

— Powinien się pan wziąć do nauki śpiewu. Będą z pana ludzie.

### Argentyński „haczyk”

Nadszedł dzień premiery. Ubrano nas w jedwabne spodnie, koszule z żabotami, namalowano nam baki, głowy ozdobiono lśniącymi sombrerami i... kurtyna poszła w górę. Nazwano nasz chór (żeby zaintrygować i zwabić snobistyczną warszawską publiczność) z hiszpańska — „Coro Argentino V. Dano”.

Zaspiewaliśmy (oczywiście po hiszpańsku) obie śliczne piosenki argentyńskie na tle dekoracji, wyobrażających zatokę w... Rio de Janeiro (Czyżby geografia nie była mocną stroną znakomitego dekoratora Józefa Galewskiego?). Po zapadnięciu kurtyny — na sali wybuch entuzjazmu! Publiczność była więc nasza. Również prasa dobrze przyjęła występ „Coro Argentino V. Dano” i pochwaliła dodatkowo inicjatywę dyrektora Boczkowskiego, który nie szczędząc kosztów sprowadził taki znakomity zespół z Argentyny...

Nawiasem mówiąc, argentyński „haczyk” pokonał nawet ktoś z dyplomatycznego przedstawicielstwa Argentyny. Przechodziłem akurat korytarzem, gdy za kulisami zjawił się brunet z baczkami i zagadnął mnie po hiszpańsku. Zakryłem usta ręką, zacząłem pokazywać (udając przeziębienie) i czym prędzej unknąłem do garderoby.

Dyrekcja wyjawiała Argentyńczykowi prawdę, ale udało się rzecz utrzymać w tajemnicy przed dziennikarzami i publicznością. Po

dwu bodaj miesiącach na scenę „Qui pro quo” wszedł nowy program — a z nim nasz kwintet. Przed premierą dyrektor Boczkowski powiedział:

— Trzeba by was teraz społszczyć.

Nazwano nas Chórem Dana. A więc „bomba” pękła! Z czasem z Chóru Dana zaczął się pomaleńku wykluwać solista — Mieczysław Fogg, który naprzykrza się publiczności swoimi piosenkami do dzisiaj...

### Niepożądani goście

Pewnego dnia w „Cafe Bodo” znaleźli się goście zgola niepożądani. Na drzwiach wiodących do „Cafe Bodo”, lokaliku mieszczącego się w piwnicy, widniał duży napis — „Dziś

## Jesienne róże Fogga



Fogg”. Ulicą Pierackiego przechodziła akurat pewna volksdeutschka z Łodzi, moja wielbielka sprzed wojny. Towarzyszył jej pijany gestapowiec.

Na widok napisu z moim nazwiskiem volksdeutschka zawołała:

— O, tu śpiewa Fogg!

Na to gestapowiec:

— Kto to taki?

Volksdeutschka odpowiedziała:

— Mój ulubiony piosenkarz.

Szarmantki gestapowiec zaprosił swoją towarzyszkę do kawiarenki. Usiedli przy jednym z dalszych stolików. Lokal tonął w półmroku. W momencie, gdy gestapowiec sadził się przy stoliku, zaczynałem śpiewać ową popularną piosenkę mówiącą o tym, że jej bohater powróci, gdy skończy się wojna. Obecne na sali kobiety, wyraźnie wzruszone, sięgnęły po chusteczki...

Zaintrygowany gestapowiec zaczął się dopytywać o treść utworu. Plumacz, chcąc nie chcąc (pewno chciał), przekładał słowo po słowie. Pod koniec piosenki hitlerowiec gwałtownie podniósł się z miejsca, wyciągnął rewolwer i wymierzył go w moją stronę. Ja tej całej sceny — jako krótkowidz — nie widziałem (śpiewałem z reguły zawsze bez okularów). Słyszałem wprawdzie z głębi sali jakieś podniesione głosy, ale wydawało mi się, że rozrabiają facyś podchmieleni goście

Po odśpiewaniu piosenki zszedłem z małego podium i skierowałem się do kuchni, pełnią-

cją równocześnie rolę kulisy. Po chwili wpadł tam biały gestapowiec w mundurze oficerskim, z pianą na ustach i zaczął mi wygrażać pod nosem rewolwerem (...) Skończyło się na razie na tym, że kazał mi zgłosić się nazajutrz w alei Szucha. Idąc na gestapo, byłem pełen najgorszych obaw.

W czasie pierwszej „wizyty” na Szucha gestapowiec z „Cafe Bodo” huknął na mnie od progu:

— Podburzacz Polaków! Polski już nigdy nie będzie i nigdy nie wróca żadni Polacy! Nie rozumiesz tego?! Jesteś przecież inteligentem.

Skwapliwie chwyciłem się tego słowa i odparłem z głupia frant opanowując zdenerwowanie:

— Jestem artystą, śpiewam dla sztuki...

Szwab spojrział na mnie niezdecydowanie, nie mając pewności, czy robię z niego kretyna, czy też jestem absolutnym durniem. Na szczęście dla mnie musiał wybrać ten drugi wariant oceny. Byłem wzywany na gestapo jeszcze kilkakrotnie, wreszcie mój prześladowca zostawił mnie w spokoju.

### Piosenka o mojej Warszawie

W Lublinie pracowała już normalnie rozgłośnia. Poszedłem i tam. Okazało się, że dyrektorem jest Jerzy Jurandot, a spikerką jego żona Stefania Grodzieńska, moi przyjaciele. W rozgłośnię spotkałem też Alberta Harrisa, który przed wojną zaczął zdobywać piosenkarckie ostrogi. W pewnej chwili Jurandot powiedział do Harrisa:

— Zaspiewaj Foggowi „Piosenkę o mojej Warszawie”...

Harris, który był zarówno twórcą muzyki, jak i autorem tekstu, zasiadł do pianina (w pomieszczeniu nazywanym szumnie studium radiowym) i zaczął śpiewać... Ze wzruszenia bliski byłem łkania. W dodatku piosenka była śliczna. Moja reakcja wzruszyła obecnych, wszyscy mieli łzy w oczach. Wspomnienie bohaterkiej Warszawy poruszało każdego głęboko.

Zwróciłem się do Harrisa:

— Jeżeli da mi pan nuty, będę piosenkę śpiewał w Warszawie

Piosenkarz i autor w jednej osobie wręczył mi je z radością, dając prawo do wyłącznego wykonawstwa. Nie przypuszczałem wtedy, że piosenka Harrisa zabrzmiała tak mocno, tak sugestywnie, śpiewana na tle scenarii zniszczonej Warszawy, że zrobiła taką furorę po jej wykonaniu w „Cafe Fogg”. (...) Zdarzało się, że wykonywałem „Piosenkę...” jeszcze na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych z orkiestrą Stefana Rachonia na dużych imprezach publicznych. Utwór Harrisa był w ciągu mojej długiej, pięćdziesięcioletniej kariery tą piosenką, która wycisnęła słuchaczom największą łez. I potrafi wzruszyć — wierzę — jeszcze dzisiaj.

### Wieczysty Fogg

Po śmierci — w 1971 r. — „Matuzalema piosenki”, 85-letniego Maurice'a Chevaliera, coraz częściej zaczęto o mnie mówić i pisać w Polsce i w polonijnej Ameryce, jako o „najstarszym występującym piosenkarzu świata”, Him, określenie może efektowne, ale postarzające... Zwłaszcza, kiedy mój siódmy krzyżyk stawał się podniętą do żartów — dobrośliwych zresztą — i anegdota.

Kiedyś spotkałem w Radziejowicach Jerzego Waldorffa, który z szelmowską miną mówi: „Mój drogi Mieczu, widziałem cię w telewizji. Jesteś wciąż w dobrej formie, tylko ktoś ci „ukradł” nazwisko. Mieszka w Krakowie i nazywa się Wieczysty”.

Opr. AG